

PATRICK MODIANO

KIK **ZAGUBIONA
DZIELNICA**



MODLANO



**ZAGUBIONA
DZIELNICA**

**PATRICK
MODLANO**

**ZAGUBIONA
DZIELNICA**

Przełożył Wiktor Dłuski

Państwowy Instytut Wydawniczy

Tytuł oryginału
«QUARTIER PERDU»

Okładkę i strony tytułowe projektowała
MARIA IHNATOWICZ

© Editions Gallimard 1984
© Copyright for the Polish edition by
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1993

ISBN 83-06-02275-0

Jak dziwnie słyseć wokół francuski. Kiedy wysiadałem z samolotu, serce zabiło mi z lekka. Stojąc w kolejce do cła oglądałem swój paszport, mój obecny paszport, bladzielony, zdobny w dwa złote lwy, emblematy mojej przybranej ojczyzny. I myślałem o tamtym, oprawnym w granatowy karton, który kiedyś, kiedy miałem czternaście lat, wydano mi w imieniu Republiki Francuskiej.

Podąłem taksówkarzowi adres hotelu i cały czas lękałem się, by nie zaczął do mnie mówić, bo utraciłem nawyk wypowiadania się w moim ojczystym języku. Ale milczał przez całą drogę.

Wjechaliśmy do Paryża przez Porte Champerret. Niedziela, druga po południu. Ulice były puste w lipcowym słońcu. Zastanawiałem się, czy nie jadę przez jakieś miastowidmo, z którego po bombardowaniu uciekli mieszkańcy. Może fasady domów zakrywają ruiny? Taksówka sunęła coraz szybciej, jakby z wyłączonym silnikiem, na wolnym kole zjeżdżała w dół bulwarem Malesherbes.

W hotelu okna mojego pokoju wychodziły na ulicę Castiglione. Zaciągnąłem aksamitne story i usnąłem. Obudziłem się o dziewiątej wieczór.

Kolację zjadłem w restauracji hotelowej. Nie było jeszcze ciemno, ale kinkiety rzucały już ze ścian ostre światło. Sąsiedni stolik zajmowała para Amerykanów: ona — jasnowłosa, w ciemnych okularach, on — wbity w coś

w rodzaju smokinga. Palił cygaro, a pot spływał mu po skroniach. Mnie też było bardzo gorąco. Kelner powitał mnie po angielsku, odpowiedziałem mu w tym samym języku. Po jego protekcjonalnym tōnie poznałem, że bierze mnie za Amerykanina.

Na dworze zapadła noc, duszna, bez najlżejszego powiewu. Idąc pod arkadami ulicy Castiglione mijałem turystów, amerykańskich i japońskich. Przy żelaznych sztachetach Ogrodu Tuileryjskiego stało kilka autokarów. Na stopniu jednego z nich blondyn w stroju stewarda z mikrofonem w rękę witał pasażerów. Mówił szybko i głośno w jakimś gardłowym języku i co jakiś czas wybuchał śmiechem przypominającym rzenie. Wreszcie zatrzasnął drzwiczki i usiadł obok kierowcy. Autokar, bladoniebieski, z wypisanymi na boku czerwonymi literami: DE GROTE REISEN ANTWERPEN, pomknął w kierunku placu Concorde.

Trochę dalej, przy placu Piramid — znów autokary. Grupa młodzieży, z przewieszonymi przez ramię workami z beżowego płótna, wylegiwała się u stóp pomnika Joanny d'Arc. Podawali sobie z rąk do rąk bagietki i butelkę coca-coli, której zawartość rozlewali do kartonowych kubeczków. Kiedy ich mijałem, jeden wstał i zapytał mnie o coś po niemiecku. Nie znam tego języka, wzruszyłem więc bezradnie ramionami.

Poszedłem aleją, która przecina ogród i wychodzi na Pont-Royal. Stał tam samochód policyjny z wygaszonymi światłami. Wpychano doń jakiś cień w stroju Piotrusia Pana. Młodzi jeszcze ludzie, wszyscy krótko ostrzyżeni, z wąsami, krążyli, sztywni i księżycowi, po alejkach i wokół fontann. Tak, tę okolicę wciąż odwiedzały postacie tego samego pokroju co dwadzieścia lat temu, chociaż tam, po lewej, od strony Łuku Triumfalnego na placu Carrousel, za kępami bukszpanu, nie było już szaletu. Doszedłem do nadbrzeża Tuileryjskiego, ale nie śmiałem przejść na drugą

stronę Sekwany, by powłóczyć się samotnie po lewym brzegu, na którym spędziłem dzieciństwo.

Długo jeszcze stałem na skraju chodnika i przyglądałem się fali samochodów, migotaniu czerwonych i zielonych świateł, ciemnemu wrakowi dworca Orsay po tamtej stronie rzeki. Kiedy wracałem, pod arkadami ulicy Rivoli było już pusto. Nigdy przedtem nie przeżyłem w Paryżu tak upalnej nocy i to wzmagало jeszcze wrażenie nierzeczywistości, jakie ogarniało mnie pośród tego widmowego miasta. A może to ja byłem widmem? Szukałem czegoś, czego mógłbym się uchwycić. Na miejscu starej, zdobionej sztukateriami perfumerii przy placu Pyramid było teraz biuro podróży. Przebudowano wejście i hall hotelu „Saint-James et Albany”. Poza tym nic się nie zmieniło. Nic. Darmo powtarzałem to sobie w myśli — czułem się, jakbym szybował ponad tym miastem. Nie było już moim, zamykało się przede mną niczym okratowana witryna przy ulicy Castiglione, przed którą zatrzymałem się, z trudem rozpoznając w niej swoje odbicie.

Obok czekały taksówki. Miałem ochotę wsiąść do którejś z nich i pojechać na długi spacer po Paryżu, by znów zobaczyć wszystkie bliskie mi miejsca. Ogarnął mnie lęk, lęk ozdowieńca, który w pierwszych dniach po chorobie obawia się zbyt gwałtownych wysiłków.

W hotelu portier powitał mnie po angielsku. Tym razem odpowiedziałem po francusku, a on wydał się zdziwiony. Podał mi klucz i błękitną kopertę.

— Telefonogram do pana...

Odciągnąłem aksamitne zasłony i otworzyłem oba skrzydła drzwi balkonowych. Na zewnątrz było jeszcze goręcej niż w pokoju. Wychyliłem się z balkonu i zobaczyłem po lewej zatopiony w półmroku plac Vendôme, a hen, w głębi, światła bulwaru Capucines. Od czasu do czasu przed hotel zajeżdżała taksówka, trzaskały drzwiczki, a strzępy włoskich lub angielskich rozmów dolatywały aż do mnie.

Znów miałem ochotę wyjść z hotelu i pójść, gdzie mnie nogi poniosą. O tej samej godzinie ktoś po raz pierwszy przyjeżdżał do Paryża i wzruszony, zaciekawiony, przemierzał te ulice i place, które mnie tego wieczoru zdawały się wymarłe.

Rozdarłem błękitną kopertę z telefonogramem. Podczas mojej nieobecności dzwonił do hotelu Yoko Tatsuke: gdybym chciał się z nim spotkać — będzie jutro przez cały dzień w hotelu „Concorde-Lafayette” przy Porte-Maillot.

Dowiedziałem się z ulgą, że chce się ze mną umówić na kolację późnym wieczorem: sama myśl, że miałbym przejechać cały Paryż w dzień, pod tym ołowianym słońcem, była przygnębiająca. Późnym popołudniem wyszedłem na chwilę, ale trzymałem się cienia arkad. Przy ulicy Rivoli zajrzałem do angielskiej księgarni. W dziale *detective stories* wypatrzyłem jedną z moich książek. Można zatem dostać w Paryżu *Jarvisy* Ambrose’a Guise. A że fotografia autora zdobiąca okładkę książki była bardzo niewyraźna, powiedziałem sobie, że tu, we Francji, żadna z osób, z którymi stykałem się dawniej, nie dowie się nigdy, że Ambrose Guise to ja.

Kartkowałem książkę z poczuciem, że zostawiłem Ambrose’a Guise po drugiej stronie kanału La Manche. Znikło nagle dwadzieścia lat mego życia. Nie było już Ambrose’a Guise. Wróciłem do punktu wyjścia, do kurzu i skwaru Paryża.

Kiedy wchodziłem do hotelu, jakiś lęk przyprawił mnie o skurcz żołądka: nigdy nie wraca się do punktu wyjścia. Czy ktokolwiek pamiętał jeszcze moje dawne życie, młodego człowieka, który włóczył się po ulicach Paryża zagubiony w tłumie? Kto pozna, że ten angielski pisarz w marynarce z beżowego płótna, Ambrose Guise, autor *Jarvisów*, to ja? Wróciłem do pokoju, zaciągnąłem zasłony i położy-

łem się w poprzek łóżka. Przerzucałem gazetę, którą ktoś wsunął pod drzwi podczas mojej nieobecności. Tak dawno nie czytałem po francusku, że znów ogarnął mnie niepokój, coś zakłużyło się we mnie, jakbym odnajdywał ślady samego siebie po długiej amnezji. Przypadkiem trafiłem, u dołu strony, na rubrykę ze spisem wycieczek i odczytów na następny dzień:

Wieża Eiffla. Godz. 15. Zbiórka przy północnym filarze. Osobliwości i podziemia Wzgórza Św. Genowefy.

Godz. 15. Zbiórka: metro Cardinal-Lemoine.

Stary Montmartre. Godz. 15. Zbiórka: metro Lamarck-Caulaincourt.

Sto grobów w Passy. Godz. 14. Zbiórka: róg alei Paula Doumer i placu Trocadéro.

Ogrody starego Vaugirard. Godz. 14.30. Zbiórka: metro Vaugirard.

Pałace północnego Marais. Zbiórka przy wyjściu z metra Rambuteau. Godz. 14.30.

Nieznane zakątki nad kanałem Ourcq; zwodzony most la Villette i składy przy Nadbrzeżu Loary. Godz. 15. Zbiórka: róg ulicy Crimée i Nadbrzeża Loary.

Pałace i ogrody Auteuil. Godz. 15. Zbiórka: metro Michel-Ange-Auteuil. Czas zwiedzania — 1 godzina 45 minut. (Z cyklu: Obecność przeszłości.)

Gdybym jutro poczuł się zbyt samotnie w tym rozżarzonym od upału Paryżu, zawsze mogę pójść na którąś z tych zbiórek. Ale nadchodziła godzina umówiona z Tatsuke. Było już ciemno. Taksówka jechała w górę Pól Elizejskich. Powinienem był odbyć tę drogę pieszo, zmieszać się z tłumem spacerowiczów, wejść do Café des Sports przy alei Wielkiej Armii i dać się ukołysać szmerem rozmów stajennych i mechaników samochodowych. W ten

sposób odzyskałbym powoli kontakt z Paryżem. Ale po co? Powinienem teraz traktować Paryż jak każde inne obce miasto. Jedynym powodem mojej tu obecności było spotkanie, które wyznaczył mi pewien Japończyk. A zresztą — i tak nie ma już Café des Sports, co właśnie zauważyłem w chwili, gdy taksówka skręcała w bulwar Gouvion Saint-Cyra. Na jej miejscu zbudowano jakiś gmach z niebieskawego szkła.

W recepcji „Concorde” zapytałem o pana Yoko Tatsuke. Czekał na mnie w restauracji na siedemnastym piętrze. Winda sunęła cicho, jakby szyb był wyłożony watą. Hall z pomarańczowym mokiety. Na stalowej ścianie — złożone litery układały się w napis: PIZZERIA PANORAMICZNA FLAMINIO, i strzałka wskazywała kierunek. Z niewidzialnych głośników dobiegała muzyka w rodzaju tej, którą słyszy się na dworcach lotniczych. Kelner w kurtce koloru bordo wskazał mi stolik w głębi, przy wielkim oknie.

Znalazłem się przed dystyngowanym Japończykiem w szarym garniturze. Wstał i uklonił się skinieniem głowy. Od czasu do czasu podnosił do warg cygarniczkę i obserwował mnie z uśmiechem: przyjaznym czy ironicznym? — zastanawiałem się. Lotniskowa muzyka wciąż grała cichutko.

— *Mr. Tatsuke, I presume?* — spytałem.

— *Pleased to meet you, Mr. Guise.*

Podszedł kelner z kartą i Tatsuke sam złożył zamówienie bardzo dobrą francuszczyzną:

— Dwie sałatki Flaminio, dwa razy pizza sycylijska i butelka chianti. Sałatki Flaminio oczywiście mocno przyprawione?

Po czym, zwracając się do mnie, powiedział:

— *You can trust me... it's the best pizzeria in Paris... I am fed up with french cooking... I'd like something different for a change... You would surely prefer a french restaurant?*

— *Not at all.*

— *Yes... I was wrong... I should have taken you to a french restaurant... You probably are not used to french restaurants...*

Ostatnie zdanie wypowiedział tonem znużonej wyższości, jakby zwracał się do jakiegoś turysty, któremu musi pokazać „Paris by Night”.

— Nie martw się pan, staruszk, lubię pizzę — powiedziałem brutalnie po francusku i odnalazłem, nie zmieniony po tylu latach, akcent rodzinnego Boulogne-Billancourt.

Cygarniczka wyslizgnęła mu się z ręki, a żarzący się koniuszek papierosa zaczął palić obrus, ale nie zauważył tego, zaskoczony tym, co usłyszał.

— Łap pan, zanim się sfajczy — powiedziałem, podając mu cygarniczkę.

Tym razem dostrzegłem w jego wzroku cień niepokoju.

— Pan... pan bardzo dobrze mówi po francusku...

— Pan również...

Uśmiechnąłem się przyjaźnie. Zdawał się pochlebiony i stopniowo się odprężył.

— Przez pięć lat pracowałem we Francji w agencji prasowej — powiedział mi. — A pan?

— Och, ja...

Nie doczekał się niczego więcej i uszanował moje milczenie. Podano sałatki Flaminio.

— *You like it?* — spytał.

— Bardzo. Sprawiłoby mi przyjemność, gdybyśmy dalej rozmawiali po francusku.

— Jak pan sobie życzy.

Był najwyraźniej zbity z tropu tym, że tak dobrze władał tym językiem.

— Miał pan dobry pomysł, żeby umówić się ze mną w Paryżu — powiedziałem.

— Ale czy nie było to dla pana zbyt kłopotliwe?

— Ani trochę.

— Moje wydawnictwo często wysyła mnie do Paryża. Tłumaczymy dużo francuskich książek.

— Dziękuję za to, że mogę z panem mówić po francusku.

Pochylił się ku mnie i powiedział łagodnie:

— To przecież drobiazg, panie Guise... Francuski to taki piękny język...

Muzyka zamilkła. Przy wielkim stole, u wejścia do restauracji, grupa Japończyków na stojąco spełniała toast, jak na komendę wznosząc kielichy z szampanem. Krępi, w okularach, z krótko obciętymi włosami — zdawali się należeć do innej rasy niż Tatsuke.

— Japończycy mają słabość do Paryża — powiedział z zamyśleniem, postukując fiwką o brzeg popielniczki. — Proszę sobie wyobrazić, panie Guise, że w czasach, kiedy tu mieszkałem, miałem za żonę uroczą paryżankę. Prowadziła salon piękności... Niestety, musiałem wracać do Japonii, a ona nie chciała ze mną pojechać... Nie zobaczyłem jej więcej. Jest jeszcze gdzieś tam, pośród tych wszystkich światła...

Pochylił głowę i przez szybę spoglądał na Paryż, którego prawy brzeg mieliśmy pod sobą niemal w całości: w pobliżu nas stała luneta na trójnogu, taka, jakie spotyka się w miejscach widokowych, tyle że nie trzeba było wrzucać do niej monety. Tatsuke przywarł do niej okiem i zaczął ją okręcać wokół osi. Wykonywał szerokie, panoramiczne ruchy, to znów przesuwiał obiektyw milimetr po milimetrze albo przez długą chwilę trzymał go nieruchomo, nacelowany na jakiś jeden punkt. Czego szukał? Swojej żony? Ja nie potrzebowałem tego aparatu. Wystarczyło mi kilka punktów orientacyjnych — wieża Eiffla, kościół Sacré-Coeur, Sekwana — by stanęła mi przed oczami płatanina dobrze znanych ulic i fasad.

— Proszę...

Popchnął trójnog w moim kierunku. Teraz ja z kolei przywarłem okiem do okularu. Nigdy nie miałem do czynienia z lunetą takiej mocy. Zatrzymałem się na kawiarni przy placu Pereire i wyraźnie widziałem twarze wszystkich klientów siedzących na tarasie, a nawet sylwetkę psa warującego niczym wartownik na skraju chodnika. Wślizgnąłem się w wąwóz alei Wagram. Może mógłbym dojrzeć zwieńczony pergolą dach hotelu przy ulicy Troyon, gdzie kiedyś mieszkalem? Ale nie. Od placu Ternes aż po plac Gwiazdy, aleja Wagram świeciła tak jasno, że prawem kontrastu jej okolice były pogrążone w ciemnościach.

— Z taką lunetą można by się włóczyć po Paryżu godzinami, prawda, panie Guise?

Byliśmy teraz sami w sali restauracyjnej. Odsunąłem od siebie lunetę i kontemplowałem Paryż za wielkim oknem. Miasto wydało mi się nagle tak odległe, jak planeta oglądana z obserwatorium. W dole były światła, hałas, duszna lipcowa noc, a tu szcząkałem zębami w zbyt chłodnym, klimatyzowanym powietrzu; panował półmrok i cisza, ledwie zakłócona stukaniem fifki Tatsukego o popielniczkę.

— Panie i panowie, właśnie przelatujemy nad Paryżem...

Naśladował głos stewarda w samolocie, ale na jego twarzy malował się wyraz smutku, który mnie zaskoczył.

— Teraz musimy porozmawiać o interesach, panie Guise...

Ze skórzanej teczki, którą miał przy fotelu, wyjął kilka arkusików papieru.

— To są umowy, proszę je podpisać... Tekst japoński i przekład angielski... Ale pan już to wszystko zna... Może pan podpisać z zamkniętymi oczyma...

Chodziło o trzy różne rzeczy: zakup praw autorskich do *Jarvisów* dla cyklu fotopowieści oraz serialu telewizyjnego, a także o komercjalizację niektórych epizodów *Jarvisa*

w postaci zabawek, ubrań i różnych rekwizytów dla tokijskiej sieci domów towarowych „Kimihira”.

— Przyznam, panie Guise, że nie całkiem rozumiem upodobanie moich japońskich rodaków do pańskich książek...

— Ja też nie.

Wsunął mi w rękę wieczne pióro z platynową stalówką. Złożyłem parafę na każdej stronie umów. Potem podał mi bladoniebieski czek zapisany różowymi gotyckimi literami.

— Proszę — powiedział. — Za te trzy operacje zdołałem uzyskać osiemdziesiąt tysięcy funtów zaliczki.

Z roztargnieniem złożyłem czek na dwoje. Tatsuke wsunął umowy do teczki i szybkim ruchem zaciągnął jej zamek błyskawiczny.

— Załatwione, panie Guise... Jest pan zadowolony?

— Przypuszczam, że uważa pan to, co robię, za bardzo złą literaturę?

— To nie jest literatura, panie Guise. To co innego.

— Jestem w zupełności pańskiego zdania.

— Naprawdę?

— Kiedy dwadzieścia lat temu zacząłem pisać cykl o Jarvisie, nie chodziło mi o to, żeby robić dobrą czy złą literaturę, tylko żeby po prostu coś robić. Czas mnie pilił.

— Nie ma w tym nic wstydliwego, panie Guise. Idzie pan w ślady Petera Cheyneya i Iana Fleminga.

Podsunał mi złotą papierośnicę z zameczkiem wysadzonym brylantami.

— Dziękuję. Nie palę, odkąd zacząłem pisać.

— Ale skąd zna pan tak dobrze francuski?

— Urodziłem się we Francji i mieszkałem tu do dwudziestego roku życia. Potem wyjechałem stąd i zacząłem pisać po angielsku.

— I nie było to dla pana zbyt trudne?

— Nie. Znałem dobrze angielski. Moja matka była Angielką. Mieszkała od dawna w Paryżu. Była girlsą w różnych music-hallach.

— Pańska matka była... girlsą?

— Tak. I to jedną z najładniejszych w mieście...

Wpatrywał się we mnie wzrokiem pełnym niepokoju i politowania.

— Jestem bardzo rad, że umówił się pan ze mną w moim rodzinnym mieście — powiedziałem.

— Może byłoby prościej, gdybym wysłał panu umowy i czek pocztą do Londynu...

— Ależ nie... Potrzebny mi był jakiś pretekst, żeby znów przyjechać do Paryża... Minęło już dwadzieścia lat, od kiedy moja noga tu nie powstała...

— Ale czemu wyjechał pan z Francji?

Szukałem w myślach jakiegoś aforyzmu, jakiegoś ogólnego sformułowania, które pozwoliłoby mi odpowiedzieć wymijająco.

— Życie składa się z kolejnych cykli... A od czasu do czasu wraca się do punktu wyjścia. Od kiedy jestem w Paryżu, mam wrażenie, że Ambrose Guise już nie istnieje.

— Ma pan jeszcze rodzinę w Paryżu?

— Nikogo.

Wahał się przez chwilę, jakby bał się, że powie jakieś głupstwo.

— Jednym słowem, chciał pan odbyć pielgrzymkę?...

Wygłosił to zdanie uroczystym tonem i nie byłem pewien, czy nie pokpiwa sobie ze mnie lekko.

— Może mi to dać materiał do książki wspomnień — powiedziałem. — Książki, którą nazwałbym *Jarvis w Paryżu*.

— Byłby to pański *Jarvis* numer który?

— Dziewiąty.

— Nie wiem, czy zainteresowałby moich japońskich

rodaków tak samo jak inne *Jarvisy*, ale niech pan to napisze. Zawsze lubiłem autobiografie.

— Byłoby to coś w rodzaju autoportretu artysty — powiedziałem, starając się zachować powagę.

— To bardzo ciekawe, panie Guise.

— Gdybym napisał taką książkę, to oczywiście po francusku.

— W takim razie zapewniam pana, że byłbym jednym z najuważniejszych pańskich czytelników — powiedział skłaniając z lekka głowę z suchą elegancją samuraja.

Spojrzał na zegarek.

— Północ... Będę musiał pana opuścić... Muszę jeszcze sporządzić sprawozdanie dla mojego wydawnictwa... A jutro o siódmej rano odlatuję do Tokio...

Przeszliśmy przez pustą salę restauracyjną. Nasze stopy grzęzły w mokiecie.

— Odprowadzę pana — powiedział Tatsuke.

Winda zatrzymywała się na każdym piętrze i oba skrzydła jej drzwi otwierały się na wciąż ten sam podest, ten sam nie kończący się korytarz. Tatsuke naciskał wtedy przycisk parteru, bojąc się pewnie, byśmy nie pojechali z powrotem na wyższe piętra i nie zjeżdżali z góry w dół do końca świata. Ale próżno przyciskał guzik, winda za każdym razem czekała jeszcze parę sekund na pasażerów, którzy nigdy nie nadchodzili. I za każdym razem ciągnął się przed nami w nieskończoność pusty korytarz, ze swym pomarańczowym mokietem, ze lśniącymi stalowo ścianami, z pokrytymi czarną laką drzwiami pokoiów...

W hallu na parterze siedziały na ławeczkach dwie grupy turystów: jakieś dwadzieścia Niemców w okolicach czterdziestki i tyłuż Japończyków, mężczyźni w tym samym co one wieku, ubranych w ciemne garnitury. Spoglądali tępo na siebie, a każde miało umocowany do szyi niczym obrożę kartonik, na którym wydrukowane były czerwone litery S. M.

— Wie pan, co znaczy S. M.? — spytał Tatsuke. — Spotkania Międzynarodowe... To biuro podróży, które organizuje spotkania grup turystycznych w Paryżu, tu, w tym hotelu, w lipcu... Zawsze tyle samo mężczyzn co kobiet...

Wziął mnie pod rękę.

— Co wieczór dwie nowe grupy spotykają się tutaj, w hallu... Mężczyźni i kobiety... Najpierw obserwują się... A potem, stopniowo, lody pękają... Tworzą się pary... Niech pan spojrzy... Mają całą noc na zawarcie znajomości. Byłem świadkiem bardzo osobliwych scen w barze... Oryginalna forma turystyki, nie sądzi pan?

Jeden z Japończyków opuścił właśnie swoją grupę i uroczyście zmierzał do grupy Niemek, jakby tamci mianowali go swym pełnomocnikiem. Z kolei jedna z Niemek ruszyła ku niemu.

— Widzi pan? Zaskoczyło... Każdy z mężczyzn ma zdjęcie swej przyszłej towarzyszki... i wzajemnie... Za chwilę przemieszają się. I ze zdjęciami w ręku będą próbowali się rozpoznać... Dziwne rzeczy dzieją się w lipcu w Paryżu, prawda?

Trzymał mnie za ramię i prowadził ku wyjściu z hotelu.

— Ma pan zamiar zostać tu parę dni? — spytał.

— Sam nie wiem... Jest za gorąco i mam wrażenie, jakbym był po prostu turystą, takim jak inni...

Przestraszyłem się nagle samotności, a nie śmiałem mu zaproponować, żeby wypił jeszcze ze mną ostatni kieliszek.

— Jeśli ten powrót do Paryża może coś panu podsunąć, to tym lepiej... Pański pomysł spisania wspomnień bardzo mi się podoba...

— Spróbuję — powiedziałem bezbarwnym głosem.

Przy wyjściu upał wydał mi się jeszcze duszniejszy. Chętnie pozostałbym dłużej w chłodzie klimatyzowanego wnętrza. Ledwie mogłem oddychać.

— Kłopot w tym — powiedziałem — że nie znam tu już nikogo.

— Rozumiem pański nastrój... Ja też, od kiedy żona mnie rzuciła, mam wrażenie, że Paryż nie jest już tym samym miastem...

Przed hotelem stał rząd taksówek. Myśl, że mam wsiąść sam do którejs z nich i znów znaleźć się w moim pokoju przy ulicy Castiglione, przygniatała mnie tak samo jak upał.

— Może byłoby lepiej, gdyby odleciał pan jutro porannym samolotem... Jak ja... Odprawiać pielgrzymki do miejsc, w których się mieszkało, to nie ma sensu... Ja, na przykład, zawsze unikam ulicy Mathurin, gdzie mieścił się salon piękności mojej żony... Rozumie pan, co mam na myśli?

Otworzył drzwiczki taksówki i z lekka popchnął mnie do środka. Opadłem na siedzenie.

— Cieszę się, że osobiście doręczyłem panu te umowy... Ale niech pan jak najszybciej wyjeżdża z Paryża... Naprawdę, myślę, że nie powinien pan tu siedzieć... Czekam na nowego *Jarvisa*... Wierzę w pana, panie Guise...

Zatrzasnął drzwiczki. Taksówka zatrzymała się przy czerwonym świetle i przyjrzałem się Tatsukemu przez szybę. Stał na brzegu chodnika, wyprostowany, z jedną ręką w kieszeni marynarki i nieprzeniknioną twarzą. Jakie to dziwne — znaleźć się po dwudziestu latach w tym mieście, samotnie, w skwarną lipcową noc i nie móc oderwać oczu od Japończyka w jasnym garniturze.

W hotelu portier z uśmiechem wręczył mi klucz od pokoju.

— *Did you have a nice time, sir?*

— Może pan mówić do mnie po francusku.

Przez chwilę zdawał się zaskoczony, ale po chwili uśmiechnął się znowu. Pewnie brał mnie za Belga albo Szwajcara.

— Jest pan sam w Paryżu?

— Tak.

— W takim razie... Może to pana zainteresuje...

Pokazał mi czerwony kartonik, nieco większy od wizytówki.

— Jeśli kuszą pana rozkosze nocnego Paryża...

Objął mnie porozumiewawczym uśmiechem i wsunął mi kartonik do kieszeni marynarki.

— Wystarczy zatelefonować...

W windzie wyciągnąłem czerwony kartonik z kieszeni. Był zapisany czarnym drukiem:

HAYWARD.

Luksusowe samochody do wynajęcia — limuzyna z kierowcą.

Trasy turystyczne. Paris by Night.

Aleja Rodina 2 (XVI). Tel. TRO 46-26.

Dziwne, ale nie od razu zwróciłem uwagę na nazwisko Hayward. Otworzyłem okno na oścież i postanowiłem zatelefonować do żony. Nie było jeszcze pierwszej, a ona zasypiała zawsze bardzo późno. Odpowiedział mi Bristow.

— Pani jeszcze nie ma. Poszła do teatru z przyjaciółmi.

— Nie obudziłem pana?

— Nie, proszę pana. Grałem w szachy z miss Mynott. Chce pan porozmawiać z panną Mynott, by spytać o dzieci?

— Przypuszczam, że śpią?

— Śpią, proszę pana, ale oglądały telewizję do wpół do dziesiątej i oboje z miss Mynott nie potrafiliśmy im odmówić... To był film Walta Disneya, proszę pana. Czy mam powiedzieć pani, żeby zadzwoniła, jak wróci?

— Nie. Zadzwońię do niej jutro. Mam nadzieję, że w Londynie nie jest tak gorąco jak w Paryżu...

— Tu jest zupełnie znośnie.

— Tym lepiej.

— Mam przyjechać po pana w środę rano na Heathrow?

— Nie, zostanę w Paryżu parę dni dłużej.

— Dobrze, proszę pana.

— Powodzenia w szachach, Bristow.

— Dziękuję panu.

Nim zdjąłem marynarkę — opróżniłem kieszenie. Paszport, drobne, kalendarzyk... Rozłożyłem czek Tatsukego. Liczba osiemdziesięciu tysięcy funtów, różowe litery gotyckie na jasnobłękitnym tle wydały mi się równie nierealne jak głos Bristowa w telefonie. A przecież od dwudziestu lat, od kiedy wyjechałem z Paryża zdecydowany nigdy tu nie wrócić, wszystko w moim życiu stało się takie zborne, solidne, jasne... Żadnej strefy cienia, żadnych ruchomych piasków... Cykl o Jarvisie, który zacząłem pisać zaraz po przyjeździe do Londynu, w smutnym pokoiku na Hammersmith, zrobił ze mnie dziś, w wieku trzydziestu dziewięciu lat, „nowego Iana Fleminga”, jak powiedział Tatsuke. Wszystko mi sprzyjało: żona, której wdzięk i uroda robiły takie wrażenie, że mój wydawca zażądał, by jej zdjęcie zdobiło okładkę pierwszego *Jarvisa*. I ta sugestywna fotografia przyczyniła się do powodzenia książki... Troje zachwycających dzieci, których jedyną wadą jest to, że lubią oglądać telewizję; dom w Londynie, przy cienistej Rutland Gate; letni domek w Klosters; i to stare marzenie, które zeszłego roku udało mi się spełnić: odkupić willę w Monako, niegdyś należąca do baronowej Orczy, której dzieła czytałem w kółko w pracowitych czasach na Hammersmith, by oswoić się z angielskim, i z przygód *Szkarłatnego kwiatu* czerpać zapał i wolę pisania moich *Jarvisów*; droga baronowa, w pewnym sensie — moja

literacka matka chrzestna, po której przejąłem adres: aleja la Costa 19, Monte Carlo...

Wyciągnąłem się na łóżku. W tym upale należało unikać najmniejszego ruchu, ale sięgnąłem ręką do nocnego stolika, gdzie leżał mój stary zeszyt. Położyłem go przy poduszce. Wcale nie miałem ochoty do niego zaglądać. Zielona okładka, wystrzępione brzegi, w lewym kącie znak fabryczny: trójkąt, u wierzchołka którego wypisane było „Clairefontaine”. Zwykły zeszyt uczniowski, kupiony kiedyś w papeterii przy alei Wagram, w którym zapisywałem adresy, numery telefonów, czasem daty spotkań: jeden z nielicznych śladów mojego dawnego, paryskiego życia, jak mój nieważny paszport francuski i skórzana papierośnica, dziś już niepotrzebna, bo rzuciłem palenie.

Mogłem podrzeć ten zeszyt kartka po kartce, ale nie warto było zadawać sobie tego trudu: zapisane w nim numery telefonów od dawna już nie odpowiadały. A więc po co tkwić w Paryżu w pokoju hotelowym, ocierając mankietem koszuli pot spływający z podbródka na szyję? Wystarczy wsiąść w pierwszy poranny samolot, by odnaleźć świeżość Rutland Gate...

Zgasilem nocną lampkę. Okno było otwarte, a w błękitnym i fosforyzującym świetle ulicy Castiglione wszystkie znajdujące się w pokoju przedmioty odcinały się wyraźnie: szafa z lustrem, obity aksamitem fotel, okrągły stół, kinkiety na ścianach. Jakiś odblask w kształcie kraty sunął po suficie.

Leżałem bez ruchu, z szeroko otwartymi oczyma i stopniowo wyzbywałem się tego grubego pancerza angielskiego pisarza, pod którym kryłem się od dwudziestu lat. Nie ruszać się. Czekać, aż zjadę poprzez czas na sam dół, jakbym skoczył ze spadochronem. Odnaleźć się na nowo w niegdysiejszym Paryżu. Zwiedzić ruiny i starać się odszukać w nich własne ślady. Spróbować odpowie-

dzieć na te wszystkie pytania, które pozostały bez odpowiedzi.

Wsluchiwałem się w trzaskanie drzwiczek samochodów, w głosy i śmiechy dochodzące z ulicy, w kroki rozlegające się pod arkadami. Widziałem koło siebie jasną plamę zeszytu i czułem, że za chwilę zacznę go przeglądać. Lista widm. Ale kto wie? Może niektóre z nich nawiedzają jeszcze to miasto zmiażdżone upałem?

Na nocnym stoliku — czerwony kartonik od recepcjonisty. To nazwisko — Hayward — wypisane czarnym drukiem z czymś mi się kojarzyło. Ależ tak. Hayward...

Między okładką a pierwszą stroną zeszytu — złożony w ćwiartkę list, który Rocroy przysłał mi dziesięć lat temu przez mojego wydawcę. Od tego czasu go nie czytałem:

Drogi Przyjacielu, jestem wielkim pożeraczem kryminałów francuskich, angielskich i amerykańskich, pewnie pan to pamięta, i wczoraj wieczorem, zachęcony okładką, która przedstawiała zachwycającą brunetkę, kupiłem tego rodzaju książeczkę: Jarvis who loves me. Jakież było moje zdumienie, kiedy na tylnej stronie okładki zobaczyłem zdjęcie autora, Ambrose'a Guise... Gratuluję. Jest pan niewdzięcznikiem. Byłoby mi miło dostać egzemplarz z dedykacją, ale rozumiem, że nie chce pan mieć nic wspólnego z tym zacnym chłopcem, którego znałem kiedyś w Paryżu... Może pan liczyć na moją dyskrecję: Jean Dekker już nie istnieje, a nie mam zaszczytu znać Ambrose'a Guise. Żeby pana do końca uspokoić: nigdy nie staram się spotykać pisarzy; wystarczy, że ich czytam, czekam więc niecierpliwie na następne pańskie dzieło. Jak dotąd nikt tutaj nie wie, że został pan Ambrose'em Guise, a poza tym, jak mówi któryś francuski moralista, „często żyjemy na lasce czyjegoś milczenia”. Proszę liczyć na moje.

Od początku do końca swej książki trzyma się pan tonacji „kryminalnej”, ale przy niektórych ustępach czuje się, że gdyby zadał pan sobie trochę więcej trudu, mógłby pan stworzyć dzieło prawdziwie literackie. W każdym razie, jest pan uprzejmy umilać takim jak ja biedakom ich bezsenne noce, a to już coś.

Mam wrażenie, że do opisanego tego podejrzanego światka, w którym obraca się pański bohater, posłużyły panu własne doświadczenia. Na przykład postać owego adwokata-samobójcy, którego garderoba składa się z dwóch rodzajów garniturów — granatowych i z szarej flaneli — i który przyjmuje klientów na leżąco... Nie wiedziałem, że te moje osobliwości tak pana uderzyły. Jestem taki sam jak większość ludzi, którzy w swoim życiu zetknęli się z jakimś pisarzem: wydaje im się, zarozumiałcom, że rozpoznają siebie w jego książkach...

Byłoby panu z pewnością obojętne — a nawet przykre — gdybym doniósł panu o nowinach paryskich i osobach, z którymi spotykał się pan tutaj, zanim został Ambrose'em Guise. Bez obawy: wszyscy ci ludzie, którzy byli świadkami pańskich początków w życiu, stopniowo znikną. Pan ich znalazł jako człowieka bardzo młody, a dla nich był to już zmierzch.

Nie zdecydowałem się jeszcze skończyć z sobą, jak adwokat z pańskiej książki, ale jeśli przyjdzie mi na to ochota — pana pierwszego zawiadomię.

A na razie życzę Ambrose'owi Guise wszelkich sukcesów i wszelkiej pomyślności.

Rocroy

Ale nie zawiadomił mnie o niczym. Pięć lat później, w Londynie, u sprzedawcy gazet niedaleko Montpellier Square, gdzie często nie mogłem się powstrzymać od przejrzenia francuskich pism ilustrowanych, przeczytałem w jakiejś wieczorówce ten artykuł, który teraz odnajduję w kopercie z listem Rocroy:

„Były adwokat w sądzie paryskim, mecenas Daniel de Rocroy, zadał sobie śmierć wczoraj wieczorem w swym paryskim mieszkaniu. Mecenas Daniel de Rocroy debiutował jako adwokat w Paryżu przed wojną i był w swoim czasie prezesem konferencji aplikacyjnej. Był cenionym cywilistą, bronił w wielu głośnych sprawach. W roku 1969 skreślono go na trzy miesiące z listy palestry paryskiej pod zarzutem naruszenia zasad zawodowych. Mecenas de Rocroy odpowiedział na ten wyrok Izby Adwokackiej listem, w którym podawał się do dymisji w takich słowach, że zawieszenie zamieniono na dożywotne skreślenie.

W latach pięćdziesiątych Daniel de Rocroy cieszył się reputacją «cygana palestry», lubiącego nocne życie i obracającego się w najrozmaitszych środowiskach.”

O świcie wyszedłem z hotelu. Powietrze było mniej duszne niż poprzedniego dnia i kiedy szedłem pod arkadami do placu Concorde, wydało mi się nawet, że czuję dotknięcie lekkiego wiatru. Przystanąłem i przyglądałem się opustoszałemu placowi i bezludnym Polom Elizejskim. Po chwili dostrzegłem białą plamę sunącą w dół środkiem alei: rowerzysta. Jechał „bez trzymanki”, w stroju do tenisa. Przejechał plac nie widząc mnie, po czym zniknął na nadbrzeżu, po drugiej stronie mostu. Byliśmy, on i ja, dwoma ostatnimi mieszkańcami tego miasta.

Przez uchyloną bramę wśliznąłem się do Ogrodu Tuile-ryjskiego i na ławeczce przy głównej alei czekałem, aż rozednieje na dobre. Nikogo. Tylko posągi. Żadnego odgłosu poza szmerem fontanny w basenie i ćwierkaniem ptaków nade mną, wśród liści kasztana. Z mgiełki zwiastującej upał wyłaniał się zielony, drewniany kiosk, w którym w dzieciństwie kupowałem słodycze: był zamknięty, może na zawsze.

Nie mogłem nie myśleć o Danielu de Rocroy. Nigdy nie odpowiedziałem na jego list, tak odległe zdawało mi się już wówczas wszystko, co było kiedyś moim paryskim życiem. Nie chciałem pamiętać o tym życiu, o ludziach, których kiedyś znałem. Nawet śmierć Rocroy nie zrobiła na mnie wrażenia. I oto teraz, z pięcioletnim opóźnieniem, sprawiła mi ból i czułem żal jakby za czymś, co nie doczekało się odpowiedzi. On jeden, z pewnością, mógłby rzucić światło na pewne strefy cienia. Dlaczego nie zadałem mu na czas wszystkich pytań, które stale zadawałem sam sobie?

Ogrodnik ustawiał obrotowy spryskiwacz pośrodku trawnika; czarnoskóry ogrodnik w koszuli khaki i spodniach z niebieskiego płótna. Uruchomił spryskiwacz, który obracał się od lewej do prawej podlewając trawnik, po czym gwałtownym skokiem wracał do punktu wyjścia.

Ogrodnik miał około sześćdziesiątki: jego posrebrzone włosy odcinały się od czarnej twarzy. Im dłużej przyglądałem mu się, tym pewniejszy byłem, że jest tym samym człowiekiem, którego zachowałem w pamięci: ogrodnikiem, również czarnoskórym, który strzygł trawnik tam, po prawej, koło pierwszego wielkiego basenu licząc od wejścia do Tuileries z alei generała Lemonnier. Działo się to pewnego ranka za mojego dzieciństwa, kiedy ogród był pusty i zalany słońcem jak dziś. Słyszałem terkotanie kosiarki i czułem zapach trawy. Czy istnieje jeszcze wielki trawnik po drugiej stronie głównej alei, w ocienionej części ogrodu zarosłej starodrzewem? A lew z brązu? A drewniane konie? A popiersie Waldeck-Rousseau pod portykiem? A zielona huśtawka u wejścia na taras nad Sekwaną?

Usiadłem przy jednym ze stolików bufetu, między teatrykiem dla dzieci a maneżem. Było tak gorąco, że długo wahałem się w cieniu kasztanów, zanim w pełnym słońcu poszedłem w kierunku schodów i bramy wychodzącej na

ulicę Rivoli. Dotykałem palącego piasku pustyni. Z ulgą znalazłem się w chłodzie arkad.

Poprosiłem portiera o książkę telefoniczną. W pokoju znów zaciągnąłem zasłony, żeby skryć się przed słońcem, i zapaliłem nocną lampkę. Rocroy figurował jeszcze pod swoim adresem przy ulicy Courcelles 45, ale do jego nazwiska dodane było nazwisko Wattier; de Rocroy-Wattier, 227-34-11. Nigdy dobrze nie wiedziałem, czy Ghita Wattier była sekretarką lub współpracowniczką Rocroy, czy też łączyły ich bliższe stosunki. Żona? Z Rocroy wszystko było możliwe.

Drżącym palcem nakręciłem 227-34-11. Sygnał rozlegał się długo, aż po dobrej chwili ktoś w końcu podniósł słuchawkę. Milczenie.

— Hallo?... Czy mogę rozmawiać z ...Ghitą Wattier? — wyjąkałem.

— Przy telefonie.

Od razu rozpoznałem jej schrypnięty głos. Westchnąłem głęboko.

— Przy aparacie Jean Dekker... Ale może pani mnie nie pamięta?

Od tak dawna nie przedstawiałem się swoim prawdziwym nazwiskiem, że miałem wrażenie, jakby należało do kogoś innego.

— Jean Dekker?... Chce pan powiedzieć: Ambrose Guise?

Wymówiła to zdanie tonem zdziwionym i rozbawionym jednocześnie.

— Tak... Ambrose Guise...

— Jest pan w Paryżu?

— Tak... I bardzo chciałbym panią zobaczyć...

Milczenie.

— Zobaczyć mnie? Ale ja bardzo się zmieniłam...

— Na pewno nie...

— Czytałam pańskie książki, wie pan... de Rocroy je bardzo lubił...

Zawsze nazywała go de Rocroy.

— Napisał do mnie kiedyś — powiedziałem.

— Wiem.

Znowu milczenie.

— No więc, naprawdę chce się pan ze mną zobaczyć?

— Naprawdę.

— Więc dobrze, proszę przyjść jeszcze dziś, jeśli to możliwe. Jestem w domu cały dzień. Która godzina odpowiadałaby panu?

— Może po południu?

— Po południu? Doskonale. O dowolnej godzinie...
Czekam na pana.

— Może o piątej? Naprawdę cieszę się, że znów panią zobaczę.

— Ja też, Jean... albo raczej, panie Ambrose Guise.

Zdawało mi się, czy może naprawdę była w jej głosie jakaś serdeczność?

Z powodu słońca wolałem pojechać metrem. Miałem trochę kłopotu z automatycznymi kasownikami, ale za przykładem innych pasażerów wsunąłem bilet w szparę.

Korytarze pachniały tak samo jak dwadzieścia lat temu. Pociąg sunął w ciszy... Nie było rytmicznego stukotu, tych wstrząsów, od których waliło się ramieniem w szybę. Większość stacji wyglądała inaczej. Na niektórych jednak, jakby o nich zapomniano, zachowały się małe emaliowane kafelki, złożone i rzeźbione ramy afiszów reklamowych, wąskie czerwono-fioletowe ławeczki. A może ci ludzie, czekający tam, na tych ławeczkach, nie ruszyli się z nich od dwudziestu lat? Ale już na następnej stacji wracałem do teraźniejszości.

Poszedłem pieszo ulicą Courcelles w górę, po cieniejszej stronie, lewym chodnikiem, tym od strony numeru 45. Przed bramą ogarnął mnie jakiś niejasny lęk i zacząłem się przechadzać wzdłuż fasady, która kończy się rotundą na rogu ulicy Monceau. Ta solidna fasada, ze swymi wielkimi oknami i balkonami, wydawała mi się teraz jaśniejsza: pewnie odmalowano ją już po moim odjeździe. Żelazne żaluzje pierwszego piętra rotundy były zaciągnięte. Naprzeciw — chińska pagoda. Często przyglądałem się jej z okien gabinetu Rocroy, kiedy odcinała się od nieba różowiejącego o zmierzchu.

Przeszedłem przez sień, pchnąłem oszklone drzwi i stanąłem przed wiszącą w hallu tablicą, na której wypisane były numery wszystkich pięter i nazwiska lokatorów. Ale poza „de Rocroy-Wattier” były tam tylko nazwy firm. Woląłem raczej pójść na górę monumentalnymi schodami niż jechać windą.

Na podeście drugiego piętra miałem chwilę wahania, ale w końcu przypomniałem sobie, że do mieszkania Rocroy prowadziły drzwi po lewej. Zadzwoiłem. Usłyszałem kroki za drzwiami.

— Kto tam?

— Jean Dekker.

Drzwi otworzyły się, ale nikogo nie zobaczyłem, jakby były sterowane na odległość, automatycznie. Wszedłem. Było ciemno. Drzwi zamknęły się. Światło latarki uniosło się ku mojej twarzy i oślepiło mnie.

— Przepraszam, Jean, ale światło nie działa w tym pomieszczeniu.

Pamiętałem dość rozległy przedpokój o ścianach pomalowanych na beżowo, ze zwisającym z sufitu żyrandolem.

— Tędy proszę...

Wzięła mnie pod ramię i prowadziła przez przedpokój, snop światła z jej latarki poprzedzał nas, aż przeszliśmy przez uchylone dwuskrzydłowe drzwi i znaleźliśmy się

w wielkim pokoju w kształcie rotundy, który służył Rocroy za gabinet. Okna wychodziły zarówno na ulicę Courcelles, jak na ulicę Monceau, ale wewnętrzne żaluzje były zamknięte i wszystkie zasłony — zaciągnięte. Światło dawała lampa na trójnogu, stojąca koło półki z książkami.

— Zamknęłam z powodu upału...

Na jednym z gerydonów pomrukiwał wentylator. Ona stała o kilka kroków ode mnie, w cieniu, poza moim polem widzenia. Odwróciłem się do niej.

— Zmieniłam się?

Zadała mi to pytanie z wahaniem. Miała na sobie białą płaszcz kąpielowy, a wokół szyi granatowy szal, który zdawał się osłaniać jakąś ranę. Nie, nie zmieniła się: jej wielkie, jasne, lekko wysadzone oczy, blond włosy, krótsze niż dwadzieścia lat temu, mocno zarysowany łuk brwiowy...

— Wcale pani się nie zmieniła.

Wzruszyła ramionami.

— Mówi pan, żeby mi zrobić przyjemność. Proszę usiąść...

Wskazała mi berzerkę obitą zielonym welurem, a sama usiadła na oparciu kanapy, na której miał zwyczaj legiwać Rocroy.

— Nie ma tu za wiele światła, ale nie mogę znieść tego upału... Na długo jest pan w Paryżu?

Wciąż przyglądała mi się mrużąc oczy.

— Pan też się nie zmienił... Wygląda pan wciąż tak młodo... Co prawda, muszę powiedzieć, że w cieniu zawsze wygląda się korzystniej.

Uśmiechała się.

— Napije się pan czegoś? Może soku pomarańczowego?

Pochyliła się, wzięła szklankę ze srebrnej tacy stojącej u podnóża kanapy, oparła o brzeg szklanki szyjkę butelki i nalewała pomarańczowy mieniący się płyn.

— Proszę... Nie przeszkadza panu, że to szklanka, z której ja piłam?

— Przeciwnie.

— Zawsze tak samo miły i dobrze wychowany...

Przełknąłem łyk soku pomarańczowego. Na próżno szukałem jakiegoś zdania, żeby rozpocząć rozmowę.

— Kto panu podsunął pomysł, żeby do mnie zatelefonować?

— Jestem przejazdem w Paryżu... Nie byłem tu od dwudziestu lat...

— Dobrze, że pan zadzwonił...

Zaskoczyła mnie powaga, z jaką to powiedziała.

— De Rocroy bardzo pana lubił... Nie był zdziwiony, kiedy wydał pan swoje pierwsze książki... Przewidywał, że zajmie się pan czymś w tym rodzaju...

— Żałuję, że już nigdy potem go nie widziałem.

Twarz jej zastygła.

— Jean, powinien pan coś wiedzieć... Kiedy postanowił skończyć z tym wszystkim, zrobił to z zupełnym spokojem...

Wyskandowała te słowa, jakby próbowała mnie przekonać.

— Po prostu miał wrażenie, że przeżył swoje życie... Że przeżył wszystko, co można przeżyć... W możliwie najlepszy sposób... Rozumie pan?

— Rozumiem.

— Było w nim coś z Japończyka...

Patrzyła mi prosto w oczy, ale czy mnie widziała? Prawda, że w Rocroy było coś japońskiego, jeśli rozumieć przez to pewną beznamietność, na przykład sposób, w jaki palił, sposób bardzo szczególny, którego tajemnicę chętnie bym od niego przejął. Ten nonszalancki ruch nadgarstka, kiedy strącał popiół...

— To okropnie przykre mówić o tym wszystkim... Żeby lepiej zrozumieć de Rocroy, trzeba sobie po prostu po-

wiedzieć, że nie żył jednym życiem, lecz kilkoma jednocześnie.

— Sądzę, że jest mnóstwo rzeczy, których się o nim nigdy nie dowiemy — powiedziałem.

— O tym właśnie myślałam... A pan odgadł moje myśli... Pewnie dlatego, że pił pan z mojej szklanki...

Rozejrzałam się pośpiesznie wokół siebie. Pokój też się nie zmienił: te same bladozielone boazerie, ciężkie zasłony z weluru w kolorze bordo, wpuszczone w boazerię półki z książkami, a na nich same powieści kryminalne: żółte okładki serii z maską, Czarna Seria, serie angielskie, amerykańskie... Rocroy często mi je pożyczał i nigdy bym wtedy nie pomyślał, że jeden z moich utworów będzie kiedyś stał w jego bibliotece... Chociaż mówił o tym pokoju „mój gabinet”, nie widać w nim było żadnego biurka. Przyjmował klientów na stojąco lub wyciągnięty na kanapie. Jeśli stał, to zawsze we wnęce balkonowego okna w kolistym pokoju, tym, który wychodził na ulicę Courcelles i ulicę Rembrandta i skąd widać było chińską pagodę...

— Rozmawialiśmy czasem o panu... Czytał pańskie książki... Chętnie by się z panem spotkał, ale uważał, że ma pan własne życie, i nie chciał sprawiać kłopotu... Czy można?...

Nalała sobie soku pomarańczowego do mojej szklanki. Jej twarz w świetle lampy była gładka, wyglądała na trzydzieści lat. Promień słońca przenikał przez szparę między zasłonami i rysował jasną plamę u dołu jej peniuru.

— Chętnie powierzyłby panu różne dokumenty, które może by pana zaciekały...

Wydaje mi się, że jednak nie była jego sekretarką, ale informował ją o swojej pracy, a nawet powierzał jej jakieś poufne zadania. Wyglądało, że jest mu zupełnie oddana. Często słyszałem, jak Rocroy mówi przez telefon swoim znużonym głosem: „Proszę pogadać o tym z Gyp...

Niech pan rozważy tę sprawę z Gyp... Gyp się tym zajmie..." Gyp był to pieśczośliwy przydomek, który jej nadał.

— Póki pamiętam, proszę pójść ze mną...

Wstała i wzięła mnie pod ramię. Szła boso po szarym mokiecie i zauważyłem, że paznokcie u stóp i rąk miała pomalowane granatowym lakierem, który kontrastował z bielą jej szlafroka, z jej blond włosami i jasnymi oczami. Pchnęła drzwi i weszliśmy do pokoju o bladozielonych ścianach, takich jak w salonie; stało w nim wielkie rozelane łóżko.

— Przepraszam za nieporządek, ale mieszkam tu sama...

Nad łóżkiem, zawieszona na ścianie, zdjęcie Rocroy. Znałem je, bo mi kiedyś zadedykował takie samo. Było to ujęcie z boku: bardzo czysty profil, mocno zarysowany podbródek, prawa ręka zaciśnięta na oparciu krzesła, postawa raczej gwiazdora filmowego niż adwokata. Rocroy powiedział, dając mi je, że takie zdjęcia szkodzą mu wśród kolegów po fachu, ale życie byłoby bardzo nudne, gdyby się zawsze zachowywało powagę.

— Bardzo piękne zdjęcie — powiedziałem do niej.

— Tak, lubię je najbardziej ze wszystkich jego zdjęć...

Otworzyła następne drzwi po przeciwnej stronie pokoju i zapaliła lampę. Znaleźliśmy się w pokoju średniej wielkości, o ścianach zastawionych segregatorami. Stos różnych teczek leżał też na kominku z szarego marmuru. Przejrzała je kolejno i w końcu wybrała jedną z beżowego kartonu.

— Proszę... Niech pan spojrzy...

Na teczce napisane było zamasztyłym pismem Rocroy: „Dla Jeana Dekkera, jeśli to możliwe.”

— Jestem bardzo wzruszony — powiedziałem.

Stała, nieruchoma, pośrodku pokoju.

— Tu jest całe jego archiwum... Ułożyłam wszystko tutaj...

Znów przeszliśmy przez jej sypialnię i znaleźliśmy się w wielkim gabinecie w kształcie rotundy. Teczkętrzymałem w ręku.

— De Rocroy często mi mówił, że to mogłoby pana zainteresować, pana, autora powieści kryminalnych... Dowie się pan z tego mnóstwa rzeczy...

— Mnóstwa rzeczy?

— Tak, mnóstwa rzeczy o ludziach, których pan kiedyś znał... Ale pozostawiam panu rozkosze odkrywcy... Dla mnie przeszłość to przeszłość i nie lubię do niej wracać...

Usiadła na oparciu kanapy, napełniła szklanekę sokiem pomarańczowym i podała mi ją.

— De Rocroy miał ochotę pokazać panu tę teczkę, ale nie śmiał jej posłać na adres pańskiego wydawnictwa w Londynie...

Kusiło mnie, by zwrócić do niej od razu, ale tu, w jej obecności, nie byłoby to uprzejme.

— Mówił mi, że z nas wszystkich tylko pan coś naprawdę osiągnął...

— To miło z jego strony.

— Długo zostanie pan w Paryżu?

— Parę dni.

— Zatrzymał się pan w hotelu?

— Tak.

— Wyjeżdżam jutro na dwa tygodnie na wybrzeże baskijskie, do siostry. Mogę panu dać klucze od mieszkania...

— Ależ nie... Nie warto...

— Tak, tak... Dam panu klucze od mieszkania... Może pan tu zostać aż do mojego powrotu... Szczerze mówiąc, wolę, by ktoś tu był w czasie mojej nieobecności...

Poczułem, że nie powinienem jej odmawiać.

— Tu nie będzie się pan czuł obco... Mieszkanie zna pan dobrze... A poza tym, myślę, że to by zrobiło przyjemność jemu...

Wpatrywała się we mnie w milczeniu. Jej jasne oczy zachodziły mgłą, aż w końcu łza spłynęła z nich aż do kącika ust. Wstałem i usiadłem na kanapie koło niej. Z profilu zdawała się jeszcze młodsza. Może przez te dwadzieścia lat żyła w spowolnionym tempie albo w hibernacji.

— Próbuję zapomnieć o przeszłości... Ale dziś, przez pana...

Otarła oczy kołnierzykiem szlafroka i jej gest odsłonił piersi. Odwróciła się do mnie i zdawała się obojętna na to, że jedna poła szlafroka zsunęła się tak, że widziałem ją półnagą.

— Nie trzeba wracać do przeszłości — powiedziałem. — Przepraszam, Gyp...

Przysunęła twarz do mojej.

— Pamięta pan, że nazywał mnie „Gyp”?

Kiedy wyszedłem, było już ciemno. Jeszcze raz przyjrzałem się pagodzie, której ochrowa czerwień odcinała się od ciemnego błękitu nieba. Niżej, kiedy przecinałem pusty bulwar Haussmanna, minął mnie rowerzysta i pojechał dalej na wolnym kole pochyłością ulicy Courcelles.

Upał był wciąż tak samo duszny i z żalem myślałem o mieszkaniu, które przed chwilą opuściłem. Ale od jutra, jeśli tylko zechcę... namacałem klucz, który miałem w kieszeni.

Na Rondzie Pól Elizejskich przystanąłem na chwilę koło fontanny. Na żelaznych krzeselkach wokół basenu siedzieli turyści. Jak oni, byłem teraz obcy temu miastu. Nic mnie tu nie trzymało. Moje życie nie było już wpisane w jego ulice, w fasady domów. Wspomnienia, które wywoływał czy to widok jakiegoś skrzyżowania, czy to numer telefonu, należały do życia kogoś innego. A zresztą, czy to były jeszcze te same miejsca? Na przykład Rondo, przez które

szedłem pewnego wieczoru w towarzystwie Rocroy — czy było tym samym Rondem? W każdym razie tej nocy nie przypominało tamtego i tu, przed tą fontanną, ogarnęło mnie straszliwe poczucie pustki.

Wszedłem do parku i po drodze uniosłem głowę ku Kupidynowi z brązu, na szczycie wieżyczki Pawilonu Elizejskiego. Ani jednego oświetlonego okna. Jedna z tych porzuconych willi, które widuje się za zardzewiałą bramą i zaroślami parku. I ten Kupidyn tam w górze, błyszczący w ciemności odbłaskiem księżyca, miał w sobie coś posępnego i niepokojącego, co jednocześnie mroziło mi serce i fascynowało. Wydał mi się szczątkiem tego Paryża, w którym niegdyś żyłem.

Doszedłem do skraju placu Concorde. Jaskrawe autokary turystyczne krążyły tu z wolna niczym wozy pogrzebowe. Blask latarni i podświetlonych fontann zmusił mnie do zmrużenia oczu. Po prawej sunęły po balustradzie Ogrodu Tuileryjskiego jakieś cienie: stateczek spacerowy. Światło jego reflektorów przenikało przez korony drzew rosnących po drugiej stronie alei Pól Elizejskich i byłem zupełnie sam, jakbym w jakimś wymarłym mieście oglądał spektakl „Światło i Dźwięk”. Czy w tych autokarach, czy na pokładzie tego stateczku byli naprawdę jacyś pasażerowie?

Tam, nad Tuilieriami, rozjaśniła niebo błyskawica, a po niej rozległ się daleko łoskot grzmotu. Wsunąłem między marynarkę a koszulę skoroszyt, który wręczyła mi Ghita Wattier, i tak zostałem, siedząc na ławce i czekając na pierwsze krople deszczu.

W recepcji hotelu portier podał mi niebieską kopertę. Była w niej wiadomość od żony, która telefonowała po południu. Postanowiła wyjechać z dziećmi do Klosters

wcześniej, niż to planowaliśmy, i prosiła, żebym tam do nich przyjechał.

— Proszę pana...

Portier znów uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

— Jeśli jest pan w Paryżu sam...

Wsunął mi do ręki czerwony kartonik, taki sam jak zeszłego wieczoru.

— Z tym wszystko jest możliwe... Każde pańskie pragnienie może być spełnione... Wystarczy zatelefonować...

Rzuciłem okiem na kartonik. Tak, znów przeczytałem nazwisko Hayward wypisane czarnymi literami. Hayward.

Otworzyłem oba skrzydła okna i usiadłem na progu drzwi balkonowych. Deszcz lał strumieniami jak podczas monsunu. Fiołkowo-zielony autokar zatrzymał się przy przeciwległym chodniku i rozpoznałem napis na jego boku: DE GROTE REISEN ANTWERPEN. Po chwili wysiedli z niego pasażerowie, a deszcz zdawał się przyprawiać ich o coraz większe podniecenie. W końcu utworzyli koło pośrodku ulicy. Porykując gardłowo śpiewali chórem jakąś piosenkę. Niektórzy ściągali swoje koszule w kwiaty, obwiązywali się nimi w talii i dalej kręcili się pod deszczem, nadzy do pasa. Blondyn w kurtce stewarda pojawił się na stopniu autokaru z mikrofonem w ręku. Zarzął w ich kierunku i wszyscy, przemoczeni, z minami skarconych dzieci zajęli miejsca w autokarze, który ruszył powoli w kierunku Opery. Deszcz ustał. Z ulicy dochodził lekki chłód i pierwszy raz od przyjazdu do Paryża czułem się dobrze.

W beżowym skoroszytcie leżała błękitna teczka, w której znalazłem jakieś sto stron peluru, zapisanych na maszynie i spiętych pordzewiałymi spinaczami. Przekartkowałem je pośpiesznie i zamigotały mi przed oczyma nazwiska ludzi, których niegdyś znałem. „Dowie się pan stąd mnóstwa rzeczy”, powiedziała mi Ghita Wattier. Nie wątpiłem w to. Będę po wielekroć czytał te stroniczki z największą ciekawo-

ścią. Czasu miałem dość. Położyłem teczkę na nocnym stoliku.

Pod każdą arkadą świeciła latarnia. Liczyłem je tak, jak przesuwa się paciorki różańca. Światła odbijały się w wilgotnym bruku ulicy Castiglione i w wielkiej kałuży, którą deszcz zostawił naprzeciwko, na wysokości angielskiej apteki. Odbicia zielonych i czerwonych świateł, latarni, świetlistego szyldu apteki, otwartej jeszcze o tej późnej godzinie. I czekałem, jakby coś miało się ukazać na powierzchni tej kałuży i tego bruku. Nenufary. Żaby. Kartki starego kalendarzyka. Martwe liście. Sto stron peluru. Pordzewiałe spinacze.

Żona zrozumie, czemu nie przyjeżdżam do Klosters. Rozumiała wszystko.

Okolo piątej po południu wyszedłem z hotelu ze skoryszym pod pachą. Upał był równie ciężki jak poprzedniego dnia, ale przeczytałem w gazecie, że późnym wieczorem znów będzie padało, i ta perspektywa dodawała mi otuchy.

Pod arkadami zadałem sobie pytanie, dlaczego zatrzymałem się w hotelu przy ulicy Castiglione? Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, powód był prosty: tak bardzo obawiałem się tego nowego spotkania z Paryżem, że wybrałem miejsce możliwie najbardziej neutralne, coś w rodzaju strefy wolnocłowej, międzynarodowej factorii, gdzie nie groziło mi, że będę słyszał francuski, i gdzie będę po prostu turystą, jednym z wielu. Widok tych wszystkich autokarów uspokojał mnie tak samo jak afisze „Duty free shop” w witrynach perfumerii, gdzie tłoczyli się hurmem Japończycy w koszulach w kwiaty: tak, byłem za granicą. A przecież, w miarę jak nogi niosły mnie do mieszkania przy ulicy Courcelles, Paryż stopniowo stawał się znów moim miastem.

Przekręciłem klucz w zamku. W chwili kiedy zatrzymałem się za sobą drzwi — ciemność, chłód korytarza, kontrastujące ze skwarnym słońcem ulicy, charakterystyczny dla mieszkania Rocroy zapach skóry sprawiły, że ogarnęło mnie poczucie, jakbym na nowo pogrążył się w przeszłości. Było tak, jakbym nagle zjechał na dno studni lub trafił w to, co się nazywa „dziurą powietrzną”. Szedłem po omacku, wyciągając przed siebie obie ręce, aż uderzyłem w jedno ze skrzydeł drzwi. Promienie słońca przenikały przez zasłony wielkiego gabinetu w kształcie rotundy. Zapaliłem jedną z lamp. Ghita Wattier zapomniała zgasić światło w swojej sypialni i w pokoju, w którym mieściło się archiwum Rocroy.

Wahałem się przez chwilę. Odstąpić zasłony, otworzyć żaluzje i okna? Pozostawić je zamknięte? W pokoju z archiwum chciałem sprawdzić, czy wciąż działa „tajny mechanizm”, jak go nazywał Rocroy. Pamiętałem, gdzie znajduje się przycisk. U dołu lewej ściany, koło gniazdka elektrycznego. Nacisnąłem go. Część półki usunęła się z wolna pozostawiając otwór wielkości ledwie jednego metra. Przeszedłem przez niego. Mimo ciemności znalazłem wyłącznik. Rozbłysło światło nagiej żarówki zwisającej z sufitu. Śień o posadzce z czarnych i białych kafli nie zmieniła się: te same szare ściany i poręcz z kutego żelaza oznaczająca początek schodów. Prowadziły do pokoju na parterze, który z pewnością był niegdyś sklepem: jego matowe okno i drzwi wychodziły na ulicę Monceau, ale Rocroy kazał zaślepić to wejście zewnętrzną kratą, która była zardzewiała już dwadzieścia lat temu.

Przeszedłem do przyległego pokoju. W żyrandolu tylko jedna żarówka jeszcze migotała i rzucała na pokój niepewne światło. To samo łóżko o wezglówiu obitym błękitną satyną, te same białe firanki, nocny stolik i lampka na nim. Nie mogłem powstrzymać się od popchnięcia drzwi do łazienki. Elektryczność nie działała. W półcieniu odróż-

niłem wannę, lustro o dwóch ruchomych skrzydłach i umywalkę. Na stoliku — pędzel do golenia i automatyczną golarkę starego typu. Próbowałem przypomnieć sobie, czy były moje.

Wyciągnąłem się na łóżku, jak dwadzieścia lat temu. Spędziłem w tym pokoju moje ostatnie dni w Paryżu. Rocroy ofiarował mi gościnę, kiedy mu wszystko wyjaśniłem... A potem, pewnego wieczoru, odprowadził mnie na dworzec Saint-Lazare. Jako wiatyk dał mi na drogę pięć tysięcy franków, które chciałem mu potem zwrócić, kiedy zacząłem zarabiać książkami. Ale nie zgodziłby się przyjąć i wszystko to zaczęło stopniowo wydawać mi się takie odległe, jakby z innego życia... To on wpadł na pomysł z Anglią. Na peronie, kiedy odjeżdżałem, życzył mi „powodzenia”. Do Hawru jechałem na stojąco: tego popołudnia, w pierwszy dzień lipcowych wakacji, pociągi były przepelnione.

Otworzyłem szufladę nocnego stolika. Okulary słoneczne. Moje. Zapomniałem ich wychodząc stąd. Przetarłem szkiełka pokryte warstewką kurzu, włożyłem i podszedłem do lustra na ścianie. Chciałem zobaczyć siebie w tych okularach słonecznych, zobaczyć swoją głębę sprzed dwudziestu lat.

Z zapadnięciem nocy otworzyłem drzwi balkonowe i żaluzje wielkiego gabinetu w kształcie rotundy. Pagoda naprzeciw świeciła fosforyzującym blaskiem. Spadł ulewny deszcz i oczyścił powietrze. Położyłem się na kanapie i przerzucałem kartki wyjęte z teczek. Chciałem dotrzeć do sedna rzeczy poprzez lekkie, coraz bliższe dotknięcia. Arkusiki peluru zawierały kawał mego życia i musiałem przyzwyczaić się do tego zimnego światła, w którym pojawiali się wszyscy ci ludzie, o których się niegdyś otarłem, pewne fakty, w które

byłem wplątany, i szczegóły, o których wówczas nie wiedziałem...

Dzwonek telefonu. Wstałem i zacząłem szukać aparatu. Potem pobiegłem do pokoju Ghity Wattier i idąc wzdłuż kabla odkryłem telefon pod nocnym stolikiem.

— Hallo? Jean? To pan?

Poznałem głos Ghity.

— Tak... Jak się pani miewa?

— Jestem w Biarritz... u siostry... Zainstalował się pan w mieszkaniu?

— Tak. Ale obiecuję, że nie narobię bałaganu...

— To nie ma znaczenia...

— Będę po prostu przychodził w dzień... z powodu upału...

— Może pan zostawać na noc... Nie chcę, żeby stało puste podczas mojej nieobecności...

— A więc proszę się nie martwić... Będę tu sypiał...

— To dobrze... Nie nudzi się pan zbyt?

— Wcale... Odnalazłem okulary słoneczne, które zostawiłem dwadzieścia lat temu... w tajnym pokoju...

Roześmiała się.

— Wie pan, ja już nie zachodzę do tamtej części mieszkania. Wyobrażam sobie, jaki tam kurz...

— W każdym razie mechanizm wciąż działa...

Znow jej śmiech.

— Czytał pan akta?

— Jeszcze nie. Trochę się tego boję.

— Niech pan przeczyta. I proszę mi powiedzieć, co pan o tym myśli. Zadzwoń jutro, o tej samej porze. Do widzenia, mały...

— Do widzenia, Gyp.

Przez korytarz przeszedłem do kuchni. Od czasów Rocroy przemalowano ją na biało. Okno było uchylone

i wychodziło na podwórze. Rocroy miał tam na dole garaż i pomyślałem sobie, czy jego sunbeam wciąż jeszcze tam śpi. Otworzyłem lodówkę, w której stały butelki soku pomarańczowego. Wziąłem jedną. Kiedy wróciłem do kolistego gabinetu, wypatrzyłem na półkach bibliotecznych trzy moje książki, trzy pierwsze *Jarvisy*. To mnie podniosło na duchu, bo już w końcu nie bardzo wiedziałem, kim jestem. Chciałem zadzwonić do żony, by uspokoić się na dobre, ale Klosters wydało mi się tak odległe w przestrzeni i czasie... Ulewa przeszła i pagoda odbijała się w chodniku ulicy Courcelles. Wyciągnąłem się znów na kanapie i przerzuciłem akta, na chybi trafi wyczytując się w bibułkowe arkusiki.

Na jednej z błękitnych teczek Rocroy wypisał dużymi literami nazwisko Bernarda Farmera. W teczce był jeden arkusik zapisany na maszynie: 24 maja 1945.

Rok 1945, 24 maja.

My, Marcel Gay, główny komisarz

W dalszym ciągu naszego śledztwa przeciwko Bernardowi Farmerowi, zwanemu „Michel”, ul. Pompe 189, Paryż XVI, zbiegłemu:

Stwierdzamy, że stawiała się panna Chauvière Carmen Yvette, urodzona 4 sierpnia 1925 w Paryżu (X), artystka, zamieszkała ul. La Rochefoucauld 40 w Paryżu (IX), której odczytaliśmy nakaz przesłuchania i która złożyła przed nami przysięgę, że mówić będzie całą prawdę, nic, tylko prawdę.

Oświadcza:

Poznałam pana Bernarda Farmera we wrześniu 1943 w kabarecie „Iskierka” przy ulicy Mansart 9 w Paryżu (IX). Pracowałam w rewii, wystawianej w tym zakładzie, w charakterze tancerki.

Następnie miałam z p. Bernardem Farmerem związek, który zakończył się w sierpniu 1944, kiedy on wyjechał z Paryża.

Nic nie wiedziałam o zajęciach p. Farmera. Widziałam wprawdzie, że dysponuje bardzo dużymi sumami, ale nigdy nie pytałam go, skąd pochodzą. Jeden z jego przyjaciół, któremu mnie przedstawił, p. Lucien Blin, wyjaśnił mi kiedyś, że p. Bernard Farmer imał się w swoim czasie

najróżniejszych zajęć we Francji i w Anglii. P. Bernard Farmer powiedział mi, że zajmuje się galerią malarstwa w Paryżu oraz handlem obrazami i starymi meblami.

Wiedziałam, że ma biura przy Polach Elizejskich 76, nad arkadami „Lido”, ponieważ czasem umawiał się tam ze mną. Nie wiedziałam, że był to ośrodek czarnego rynku. Był tam zawsze sam i wydawało mi się, że te biura nie są używane.

Sumując, mogę powiedzieć, że łączyły mnie z panem Farmerem stosunki wyłącznie uczuciowe, i trudno mi dostarczyć panu wskazówek na temat jego działalności.

Inna błękitna teczka nosiła moje nazwisko: Jean Dekker, również wypisane pośpiesznym pismem Rocroy. Zawierała kilka kartek zapisanych na maszynie:

5 lipca 1965

NOTATKA

Policja kryminalna

Brygada obyczajowa

Jean Dekker

urodzony 25 lipca 1945 w Boulogne-Billancourt, dpt Sekwany.

Zamieszkały: od 11 kwietnia 1965 — hotel „Triumpf”, ul. Troyon 1^{bis}, Paryż (XVII).

Odnaleziono dwie hotelowe karty meldunkowe na nazwisko Jean Dekker, wypełnione przez niego w czerwcu roku bieżącego:

7 czerwca 1965: hotel-restauracja „Mały Ritz”, aleja 11 Listopada 68 w La Varenne-Saint-Hilaire (dpt Sekwany i Marny).

28 czerwca 1965: hotel „Malakoff”, aleja Raymonda Poincaré 3, Paryż (XVI), gdzie podał jako swoje miejsce zamieszkania aleję Rodina 2, Paryż (XVI).

Zarówno w „Małym Ritzu”, jak i w „Malakoff” towarzyszyła mu dziewczyna w wieku około dwudziestu lat, wzrost średni, włosy ciemne, oczy jasne, której rysopis odpowiada podanemu w zeznaniu przez p. Deniau, dozorcę domu przy alei Rodina 2, Paryż (XVI).

Do tej pory nie udało się zidentyfikować tej dziewczyny.

Na innej kartce:

Numer 29: położenie łusek.

Odnaleziono trzy łuski odpowiadające trzem wystrzelonym kulom.

— Jedną z nich odnaleziono na ziemi, między cygarniczką leżącą w pobliżu prawego ramienia Ludovica Fouqueta a fotelem.

— Dwie pozostałe łuski znajdowały się na fotelu, między oparciem a lewą poręczą.

Z punktu widzenia hipotez, jakie można wysuwać co do sposobu, w jaki odbyło się zabójstwo p. Ludovica Fouqueta, interesujące jest zeznanie p. Rosena, zamieszkałego na trzecim piętrze budynku przy alei Rodina 2.

Z kolejności odgłosów, jakie usłyszał, można wywnioskować, że oddany został pierwszy strzał, po którym p. Ludovic Fouquet upadł, po czym, po krótkiej chwili, oddano dwa pozostałe strzały. W zeznaniu tego świadka czytamy mianowicie:

„Okolo godziny dwudziestej trzeciej usłyszałem dość głośny hałas, jakby przewrócono jakiś mebel na podłogę, po czym, kilkadziesiąt sekund później, usłyszałem dwa strzały, bardziej suche i przygłuszone.

Te dwa strzały nastąpiły jeden po drugim i nie miałem wątpliwości, że rozległy się w mieszkaniu Haywardów.

Nie przywiązywałem żadnego znaczenia do tych trzech strzałów. Następnie, w ciągu przedpołudnia, dowiedziałem się, co się stało u Haywardów, i od razu pomyślałem...”

Wyszedłem około dziesiątej wieczorem, żeby poszukać jakiejś restauracji albo kawiarni, i przechodząc koło pagody zrozumiałem, dlaczego tak wyraźnie odcina się w ciemnościach, że aż zdaje się fosforyzować. Wycelowane w nią były reflektory filmowe, rozstawione w głębi ulicy Rembrandta. Poszedłem ulicą Monceau w górę do rogu alei Messine, gdzie była jeszcze otwarta kawiarnia. Słyszałem szmer głosów. Przy stolikach rozstawionych na tarasie i nawet na chodniku siedziało sporo klientów. Usiadłem w głębi koło oszklonej ścianki.

Kelner podszedł po zamówienie.

— Dwa sandwicze i kawę. Macie tu dziś dużo ludzi...

— Filmowcy... Kręcą tu w pobliżu...

I tonem pełnym podziwu wymienił nazwisko reżysera.

— To znany reżyser?

Wytrzeszczył oczy i popatrzył na mnie z lekko wzgardliwym uśmieszkiem.

— Oczywiście, że znany...

— Przepraszam, dawno nie byłem we Francji...

Od razu pożałowałem tego zwierzenia. Przez przeszkoloną ściankę przyglądałem się wszystkim tym ludziom słoczonym przy stolikach na zewnątrz. Reżyser to pewnie ten brunet, z wyglądu dość młody, z brodą zarastającą mu całą twarz i z czarnymi drwiącymi oczyma. Obgryzał paznokcie kciuka. Otaczało go z pół tuzina osób: zdawały się pełne najgłębszego szacunku do niego i spijały z jego ust te nieliczne słowa, które cedził trzymając kciuk w zębach. Obok niego siedziała blondynka, jej delikatne rysy i uparte czoło coś mi przypominały... Ależ tak, jako mała dziewczynka grała w pewnym głośnym filmie, w czasach kiedy i ja byłem dzieckiem w tym samym wieku. A teraz, jednym skokiem, odnajdywałem ją w postaci kobiety czterdziestoletniej, jakby ciężar czasu w kilka chwil przygniótł nas oboje. Podawano im wszystkim talerze z surówkami i wodę mineralną. Tylko reżyser pił kawę za kawą. Trochę z boku, przy stolikach wyznaczających granicę tarasu, siedziała inna grupa: z pewnością ekipa techniczna. Szmer głosów przyprawiał mnie o jakieś odrętwienie i mój wzrok zatrzymał się na twarzy, która również nie była mi obca: blondyn, z zadartym nosem i tłustym podbródkiem, siedzący samotnie przy stoliku i palący *cigarrillo*. Gdzie ja go już spotkałem? Byliśmy o kilka centymetrów od siebie, przedzieleni szybą. Poruszył głową i z kolei przyjrzał się mnie. Po chwili uśmiechnął się niepewnie, wstał, wszedł do środka i skierował się do mojego stolika:

— Przepraszam... Robert Carpentieri...

Mówił niskim głosem palacza. A może był zachrypnięty. Z bliska, mimo swych niebieskich oczu, szopy blond włosów i zadartego nosa, wyglądał na czterdzieści pięć lat. Pochylił się lekko, opierając obu rękami o oparcie

wolnego krzesła naprzeciwko mnie. Milczałem, bo nie chciałem mu powiedzieć, jak ja się nazywam.

— Mam wrażenie, że się znamy.

Przyciągnął do siebie krzesło i usiadł.

— Jeśli tak, to chyba sprzed jakichś dwudziestu lat — powiedziałem. — Od tego czasu moja noga nie powstała w Paryżu...

— Dwadzieścia lat?

— Mniej więcej.

Błądził gdzieś niepewnym wzrokiem, próbował sobie coś przypomnieć. Ze wszystkich sił.

— Może spotkaliśmy się w towarzystwie Georges'a Maillot? Znał pan... Georges'a Maillot?

Wyszeptał to nazwisko niczym umówione hasło.

— Ma pan rację — powiedziałem. — Poznaliśmy się przez Georges'a Maillot...

Przypomniał mi się profil, fotografia, grająca czernią i bielą, jak zdjęcie Rocroy na ścianie w sypialni Ghity. I była to fotografia zadedykowana mi przez Maillota. Ale w przeciwieństwie do zdjęcia Rocroy, widać było na niej tylko twarz. Rozdawanie przyjaciółom swych zdjęć z dedykacją nie było już w tych czasach w modzie, ale w końcu — może to ja poprosiłem ich o te fotografie.

— Często pan bywał u Georges'a Maillot? — spytał.

— Dostyc. A pan?

— Widywałem go codziennie.

— Czy pan... czy pan nie był wówczas jego sekretarzem?

Nie ośmieliłem się powiedzieć „szoferem”. A przecież — im dłużej przyglądałem mu się, tym bardziej przychodził mi na pamięć pewien obraz: on, ten tęgi blondyn, przy kierownicy samochodu Maillota.

— Jego sekretarzem, owszem... Szoferem też...

No właśnie. Uśmiechnął się.

— A nawet jego przyjacielem... Nie spodziewałem się, że będę tego wieczoru rozmawiał o Georges'u...

Przyglądał mi się z jakimś pełnym szacunku zdumieniem.

— A więc dwadzieścia lat był pan... nieobecny?

Czy brał mnie za widmo? Czy za kogoś, kto wyszedł z więzienia po długim wyroku? Chciałem ułatwić mu sytuację i szerokim gestem wskazałem mu tych wszystkich ludzi siedzących przy stolikach na tarasie.

— Ktoś z nich musiał pewnie znać Georges'a Maillot, prawda?

Wzruszył ramionami.

— A skąd... Jeszcze ciągnęli ze smoczka, kiedy Georges kręcił filmy... Jestem najstarszy z całej ekipy...

— Pracuje pan... razem z nimi?

— Tak... Jestem kierownikiem produkcji...

Czułem jednak, że nie ma ochoty o tym mówić. Wystarczyło wymówić nazwisko Georges'a Maillot i terażniejszość przestawała dla niego istnieć. Wisiał wzrokiem na moich wargach.

— A pan? Jak pan poznał Georges'a?

Nie miałem ochoty zwierzać się nagle pierwszemu lepszemu.

— Jak poznałem Georges'a?

Szukałem odpowiedzi, która byłaby półprawdą. Chciałem zbadać teren i sprawdzić, na jaki haczyk gotów wziąć.

— Poznałem go przez kogoś, kto był producentem jednego z jego pierwszych filmów... przez Alberta Valentin...

— Tego, co mieszkał w hotelu przy ulicy Troyon, tam gdzie Georges zatrzymywał się, gdy przyjeżdżał do Paryża?

A więc znał Valentina... Ale nie wiedział, że mieszkałem w tym samym hotelu. Może spotkaliśmy się tylko dwa— trzy razy w towarzystwie Maillota, a on miał po prostu dobrą pamięć do twarzy? Jeśli tak mało o mnie wiedział, to nie moją rzeczą było podsuwać mu szczegóły. Jak mawiał Albert Valentin — nigdy nie odslaniaj swoich baterii.

— A więc, jeśli dobrze rozumiem, wciąż pracuje pan w filmie? — spytałem.

Wzruszył ramionami.

— Jakoś trzeba zarabiać...

Pokazałem ręką stół, przy którym tronował reżyser. Co chwila nachylał się ku niemu z poszanowaniem któryś z członków ekipy, ale on ciągle obgryzał ze wzgardliwą miną paznokcie kciuka.

— Czy to dobry reżyser?

— Dobry czy zły, gwizdź na to... Robię swoje...

— A pan, jak pan poznał Maillota?

Twarz rozjaśniła mu się.

— Na planie... W 1955... Kręcił swój ostatni film... Miałem osiemnaście lat i byłem rekwizytorem...

— Kiedy ja go poznałem, już od dawna nie kręcił filmów...

— Nigdy tego nie lubił. Zaczął kręcić przypadkiem, ale nigdy tego nie polubił...

Rzucił znudzone spojrzenie na stoliki tarasu.

— Nie miał naprawdę nic wspólnego z tamtymi wyrobnikami...

Próżno przyglądałem mu się najuważniej, jak mogłem, i szperałem w moich wspomnieniach — stanowczo, zachowałem w pamięci tylko jeden obraz z jego postacią: przy kierownicy samochodu Maillota. I niejasne skojarzenie: wydawało mi się, że Maillot nazywał go jakimś przydomkiem.

— Jak on właściwie pana nazywał? — zaryzykowałem pytanie.

— Tintin. Byłem wtedy znacznie szczuplejszy. Przypominałem Tintina...*

Ależ tak, oczywiście; Maillot, wychylony przez okno

* Tintin — bohater bardzo popularnego w swoim czasie we Francji komiksu, kilkunastoletni chłopiec w pumpach i z pieskiem. (Przyp. tłum.)

hotelu przy ulicy Troyon, woła swym niskim głosem Tintina. Tintin... Tu, siedząc naprzeciw mnie, budził we mnie to samo przykre uczucie co ta mała dziewczynka, którą przed chwilą rozpoznałem na tarasie, przekształconą za dotknięciem czarodziejskiej pałeczki w czterdziestoletnią kobietę. Tintin postarzały, dwa razy cięższy.

— Kazał mi nosić golfowe spodnie... I podarował mi na urodziny foksteriera... Od tego czasu koledzy po fachu nazywali mnie zawsze Tintin Carpentieri...

Odnajdywałem, niczym smugę zapachu, Maillota i jego zmysł zabawy. Mieć Tintina za sekretarza to całkiem w jego stylu.

— Będę musiał wracać do roboty — westchnął.

Na zewnątrz, na tarasie, reżyser wstał i studiował gruby notes, obgryzając paznokieć wskazującego palca. Niedgdyjsza mała dziewczynka stała grzecznie koło niego.

Znów nachylił się ku mnie.

— Koniecznie chciałbym zobaczyć się z panem znowu... Pan lubił Maillota, prawda?

— Oczywiście, że go lubiłem.

— No więc muszę panu powiedzieć coś bardzo ważnego. Ale teraz nie mamy dość czasu...

Zaciskał wargi, jakby chciał powstrzymać falę zwierzeń. Wreszcie, suchym ruchem podbródka okazał, że będzie mówił.

— Proszę posłuchać... Maillot nie umarł... Nie umarł... Bierze mnie pan za wariata, co? Mówię panu, że Maillot nie umarł. Teraz nie mam już czasu, ale umówmy się...

— Dobrze.

— Jutro... O wpół do pierwszej w nocy... tu... w tej kawiarni... Gdybym się spóźniał... Pan na mnie zaczeka... Kręcimy na ulicy, tuż obok...

— Dobrze.

— Będę mógł panu wszystko spokojnie wytłumaczyć.

Wstał, uściśnął mi rękę i wyszedł z sali. Bardzo szybko. Podeszedł do grupy otaczającej reżysera, ale trzymał się nieco na uboczu. W sali byłem sam. I wtedy wydało mi się, że słyszę nad sobą śmiech Georges'a Maillot, cichy jak szmer neonów. I nie mogłem powstrzymać się od myśli o tamtym, młodszym o dwadzieścia lat, z szopą blond włosów, ubranym w golfowe spodnie, z foksterierem na smyczy.

Po powrocie do mieszkania przekartkowałem skoroszyt, żeby zobaczyć, czy Tintin jest tam wspomniany. Na stronie 12 zamieszczone było jego zeznanie, bardzo krótkie, złożone dnia 11 lipca 1965 roku:

...Robert Carpentieri, ur. 7 czerwca 1938 w Paryżu (X), technik filmowy, zamieszkały przy ul. Brunela 5^{bis} w Paryżu (XVII)... Zeznaje:

Poznałem p. Georges'a Maillot w kwietniu 1955 podczas kręcenia jego ostatniego filmu. Od tego czasu utrzymywałem z nim więzy przyjaźni. Służyłem mu od czasu do czasu jako szofer i sekretarz oraz towarzyszyłem mu do Rzymu w roku 1960 z okazji jego ślubu z panną Piestri.

W towarzystwie p. Maillota spotykałem niektórych jego przyjaciół, ale panią Carmen Blin widywałem bardzo rzadko. Wiedziałem, że p. Maillot zna ją od dawna. Chyba towarzyszyłem p. Maillot dwa lub trzy razy do domu pani Carmen Blin, przy Cours Albert I.

Nigdy nie spotkałem państwa Haywardów ani p. Ludovica Fouquet. Nie wiedziałem, że p. Maillot ich zna. Nigdy mi o nich nie mówił.

Jedynym znajomym p. Maillota mieszkającym w hotelu „Triumpf” przy ulicy Troyon 1^{bis} (XVII) był p. Albert Valentin, filmowiec. Nazwisko Jean Dekker nic mi nie mówi. Nie przypominam sobie, by p. Maillot wymieniał je w mojej obecności.

Podpisano...

A więc moje nazwisko nic mu nie mówiło... Może Tintin wiedział więcej, niż chciał powiedzieć, ale tak czy inaczej był tylko komparsem, jedną z tych sylwetek, które ledwie się rozróżnia w pejzażu, w tle obrazu.

Zamknąłem skoroszyt. Powietrze wpadające przez uchylone drzwi balkonowe poruszało zasłony.

Perspektywa spędzenia nocy w tym mieszkaniu, na czytaniu tych akt, wydała mi się nagle ponad siły. Po-
stanowiłem wrócić do hotelu, ale nie mogłem się zdobyć na to, by jak poprzedniego wieczoru pieszo przemierzyć to martwe miasto. Zamówiłem radio-taxi.

Z ulgą znalazłem się znów w pokoju hotelowym, jak byłe turysta zwiedzający Paryż. Namacałem w wewnętrznej kieszeni kurtki mój angielski paszport. Budziłem się ze złego snu. Czy Tintin istniał naprawdę? Tak, oto teczka i klucze od mieszkania przy ulicy Courcelles, ale mogłem się ich pozbyć na zawsze. I nie zostałyby już żaden ślad. Żaden. Wyjechałbym jutro rano do Klosters z lekkim sercem.

Chciałem zadzwonić do żony, ale było za późno. A poza tym bałem się, że mój głos będzie brzmiał nieco dziwnie, co może ją zaniepokoić. Czy znajdę angielskie słowa, by jej opisać kolisty salon, pagodę, moje spotkanie z „Tintinem”? Niektóre sprawy lepiej zachować dla siebie.

Położyłem na sekretarzyku moje stare okulary słoneczne. Nagle przeląknąłem się ich, tych okularów, jakby były dowodem rzeczowym jakiejś zbrodni popełnionej przeze mnie.

Wyciągnąłem się w ubraniu na łóżku i włączyłem radio. Powoli przesuwalem wskazówkę, żeby złapać BBC. Czułem potrzebę słuchania angielskiej mowy, chciałem przekonać sam siebie, że jestem rzeczywiście Ambrose'em Guise, angielskim pisarzem, powracającym w zmierzchu i niedzielnej nudzie z przechadzki do Hampstead Heath.

Przyglądałem im się z okna. Dziewczyna po raz trzeci wchodziła powoli po schodkach. Kiedy była już pod oknem fasady, uderzała pięścią w drzwi. Te otwierały się i mężczyzna w białym smokingu, o popielatych włosach uczesanych na jeża, stawał nieruchomy na progu.

— Czy mogłabym go zobaczyć? — pytała nerwowo dziewczyna.

— Czeka na panią.

I człowiek w białym smokingu szerokim gestem lewej ręki dawał jej znak, żeby weszła. Ona cofała się z lekka.

— Jest pan pewien, że czeka na mnie?

I w tej właśnie chwili reżyser wołał „stop!”, i wszystko zaczynało się od nowa. Ich głosy niosły się w nocy jakby wzmocnione przez głośniki. Dolna część pagody była ostro oświetlona. Tamci tworzyli wokół reżysera grupę cieni, wśród których na próżno próbowałem wypatrzeć cień Tintina Carpentieri.

Zgasiłem światła w kolistym gabinecie, bo obawiałem się, że to on dostrzeże z dołu moją sylwetkę. Może znał mieszkanie Rocroy i gdyby zobaczył mnie na tym balkonie, pewne szczegóły przeszłości mogły mu ożyć w pamięci, takie na przykład, jak istnienie niejakiego Jeana Dekkera. Ale wczoraj wieczorem nie zadał mi żadnego konkretnego pytania. Wystarczyło mu, że przypomniał sobie niejasno moją twarz. W gruncie — jedyną rzeczą, która się dla niego liczyła, była rozmowa o Georges’u Maillot.

Maillot zmarł na kilka miesięcy przed Rocroy i o tym również dowiedziałem się w Londynie, w sklepie koło Montpellier Square, gdzie często przeglądałem francuskie gazety. Notatka, jakieś piętnaście wierszy. Nie uznano za stosowne zilustrować jej zdjęciem. Ale czemu mieliby to zrobić? Maillot od dawna już rzucił był film. Przewrócił się na chodnik alei Montaigne’a o trzeciej nad ranem, „wychodząc z baru” — donosił artykuł. Jakiś przechodzień próbował go podnieść i wezwał karetkę. Wów-

czas te dwa niemal jednoczesne zgony nie nasunęły mi żadnych szczególnych myśli. Tak samo jak przeprasające zdanie, które Maillot miał jeszcze siłę wyszeptać temu, kto mu przyszedł z pomocą: „Starzeję się, przyjacielu.”

Wpół do pierwszej. Tamci, w dole, wygasili swoje reflektory i składali sprzęt do ciężarówki zaparkowanej nieco wyżej, przy ulicy Courcelles. Zaczekałem jakieś dziesięć minut i zszedłem po schodach na dół. Nie chciałem, by Tintin Carpentieri widział, że wychodzę z tego domu. Uchyliłem bramę i wysliznąłem się na ulicę. Grupa filmowców stała teraz przed wejściem do pagody, ale plecami do mnie. Przeciąłem szybkim krokiem ulicę i już na chodniku przeszedłem na spokojny krok spacerowicza.

Siedział przy stoliku, który zajmowaliśmy poprzedniego wieczoru. Ubrany był w błękitną koszulę z podwiniętymi rękawami. Twarz miał mokrą od potu. Uśmiechnął się do mnie. Usiadłem naprzeciw niego.

— Co za upał... Idiota jestem... Wypiłem już dwa piwa...

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł nią czoło.

— Bałem się, że pan nie przyjdzie... Daleko pan mieszka?

— W hotelu przy ulicy Castiglione.

— Tak się cieszę, że pana widzę... Zamówi pan coś?

Odwrócił się i szukał wzrokiem kelnera. Na próżno. W głębi przy barze nie było nikogo. Byliśmy sami w tej kawiarni.

— Chyba zapomnieli o nas, ale to wszystko jedno...

Ten upał, ta cisza, ta pusta kawiarnia, białe światło spływające na nas z neonów... Sen?

— Chce pan wypić trochę mojego piwa?

Pokazał mi do połowy opróżniony kufel z niespokojną miną, jakby bał się, że mu umknie, i za wszelką cenę chciał mnie zatrzymać.

— Nie, dziękuję.

— Papierosa?

— Dziękuję, nie.

Błyski neonów odbijały się na jego różowej twarzy, na szopie złocistoblonde włosów i błękitnej koszuli. Za dużo żywych kolorów. Krople potu zatrzymywały się przez chwilę na skraju jego podbródka i śledziłem, jak padały na stół. Zapalił papierosa.

— Jak nazywa się film, który kręcicie?

Wahał się przez chwilę.

— Nazywa się? A tak... *Lipcowe spotkanie...*

— Był już film o takim tytule...

— Tak, ale oni o niczym nie mają pojęcia... Trzeba by im udzielać lekcji... Reżyser nie zna nawet nazwiska Georges'a Maillot...

Wciągnął głęboko dym i nachylił się ku mnie.

— To, co chciałem wczoraj panu powiedzieć, jest bardzo ważne... Maillot nie umarł...

Ostatnie słowa wymówił bardzo wolno. Wypuścił z płuc powietrze i nasze głowy znalazły się w chmurze dymu.

— Nie żartuję... Tej nocy zobaczy pan Maillota...

Nagle zacząłem się go bać.

— Będzie to dla pana osobliwy szok... Ja też, za pierwszym razem... Niewiele się zmienił...

Ścisnąłem pięść, by sobie dodać odwagi, i powiedziałem tonem człowieka, który mówi do wariata i nie chce mu się sprzeciwiać:

— W takim razie... Gdzie on jest?

— W Paryżu. Tu, blisko. Zobaczy go pan za kilka minut.

— I jest pan pewien, że to on?

— Oczywiście. Inaczej nie ośmieliłbym się mówić panu o tym. Z takimi rzeczami nie ma żartów. Zwłaszcza ja... Nigdy nie znosiłem historii o duchach i wirujących stolikach...

Mówił te słowa zupełnie spokojnie i dorzecznie. Nawet uśmiechnął się do mnie.

— Musiałem wreszcie powiedzieć o tym komuś, kto znał Maillota...

Mówił coraz ciszej, szeptał prawie. Ale w chwili gdy miałem wsiąść do jego samochodu, poczułem niepokój, który rósł w miarę, jak jechaliśmy do nie znanego mi celu. Brał zakręty w jakiś dziwny sposób i przejeżdżał czerwone światła...

Czekaliśmy, siedząc przy jednym z nielicznych stolików wąskiego baru u wylotu ulicy Vignon. Carpentieri wybrał miejsce najbliższe okna. Wyglądał pojawienia się kogoś na ulicy.

— Zawsze między piętnaście po pierwszej a wpół do drugiej w nocy — powiedział mi.

Zegar na ścianie w głębi pokazywał dwadzieścia trzy po pierwszej.

— Jeśli zobaczy pan zatrzymującą się białą lancję flaminia...

Poszedł kupić przy barze paczkę papierosów. Nie pamiętałem dokładnie, jak wyglądają te flaminie, ale to nie miało znaczenia. Białą to kolor, który nocą rzuca się w oczy.

Ledwie wrócił do stolika, kiedy biały samochód zatrzymał się na wysokości kawiarni, przy chodniku po przeciwnej stronie ulicy.

— To on... to on... — wyszeptał Carpentieri.

Popchnął mnie przez drzwi kawiarni. Serce biło mi bardzo mocno, bo myślałem, że przejdziemy na drugą stronę ulicy, a on nachylił się do kierowcy lancji. I co bym zrobił, gdybyśmy naprawdę znaleźli się twarzą w twarz z Maillotem? Ale Carpentieri zaciągnął mnie do rogu ulicy i bulwaru Madeleine, tam gdzie zaparkował swój samochód. Otworzył przede mną drzwiczki.

— Wsiadaj pan.

Siedzieliśmy obok siebie, on przy kierownicy. Pot spływał mu wciąż z podbródka.

— Widzi pan... Stoi tam, zaparkowany...

Jakieś dziesięć metrów przed nami tył lancierki lśnił i oślepił mi oczy.

— Nie bardzo rozumiem, dlaczego czeka... Jednej nocy widziałem, jak zabrał do samochodu dziewczynę, która wychodziła z kawiarni...

— Może na nią właśnie czeka...

— Może.

— Ale nigdy nie wychodzi z samochodu?

— Tu nigdy.

Trzy dziewczyny, które spacerowały po chodniku nieco wyżej, podeszły do lancierki i teraz krążyły wokół niej, powoli, jak w dziecięcym tańcu.

— A pan nigdy nie podszedł do niego porozmawiać?

— Nigdy.

— Dlaczego?

Nie chciał mi odpowiedzieć. Suchym gestem włączył radio i dobiegła nas muzyka orkiestry, na pół zagłuszona trzaskiem zakłóceń.

— No i co, będziemy tu czekać?

— Tak, będziemy tu czekać.

Otarł nadgarstkiem podbródek i podsunął mi paczkę papierosów.

— Nie, dziękuję.

— Ja też nie mam ochoty palić.

Tam, przed nami, dziewczyny odchodziły od samochodu.

— No... Odjeżdża...

Carpentieri zaczekał, aż lancia skręci za róg ulicy Sèze, i ruszył.

— Zgubi pana — powiedziałem.

— Nie... nie... Znam jego trasę na pamięć...

Lancia skręciła w bulwar Malesherbes i jechała coraz wolniej.

— Czasem niemal staje w miejscu — powiedział Carpentieri. — Wtedy wyprzedzam go i czekam na następnym rogu.

Bulwar był pusty, jak tamtego dnia, kiedy jechałem z lotniska i po raz pierwszy od dwudziestu lat przemierzałem Paryż. A na widok tej białej lancii, sunącej wzdłuż fasad o wygaszonych oknach, ogarniało mnie to samo poczucie katastrofy, które przeniknęło mnie tamtego popołudnia. Teraz jechała bulwarem Courcelles.

— Czasem zatrzymuje się przy tym chodniku... od strony ogrodzenia parku Monceau... Zobaczymy, czy dzisiaj też...

Ale nie. Jechała dalej aleją Wagram.

— Za pierwszym razem omal go tu nie zgubiłem z powodu czerwonego światła... Ale teraz jestem spokojny... Nigdy nie zmienia trasy...

Byliśmy prawie na wysokości ulicy Troyon. Czy lancia wjedzie w nią i zatrzyma się pod 1^{bis}, przed hotelem? Znów spotkamy się w hallu, Georges Maillot, Albert Valentin i ja. I wszystko zacznie się od nowa. Jak przedtem. Ale minęliśmy ulicę Troyon. Dojechaliśmy do placu Gwiazdy.

— Tu może objechać plac kilka razy — powiedział Carpentieri. — Musi pan uzbroić się w cierpliwość... Jednej nocy objechałem tak za nim plac czternaście razy pod rząd...

Trzymał się o jakieś dwadzieścia metrów za lanią, jakby bał się zwrócić na siebie uwagę kierowcy. O tej godzinie tylko my i on krążyliśmy po placu Gwiazdy. Zacząłem się w końcu zastanawiać, czy ktoś siedzi za kierownicą tej lancii, bo próżno wytrzeszczałem oczy — nie widziałem ani cienia człowieka.

— Jest pan pewien, że on jest w tym samochodzie?

— Oczywiście.

Dla mnie wyglądało to raczej na lancię-widmo, która nigdy nie przestanie sunąć przez ten nocny wymarły Paryż.

— No, mamy szczęście. Robi tylko jedno kółko.

Lancia jechała w dół aleją Jeny.

— I tak co noc?

— Nie. Czasem znika na jakieś dwa tygodnie.

— A pan jeździ tak za nim co noc?

— Prawie. Staram się stawiać na spotkanie jak najczęściej.

Wymówił słowo „spotkanie” smutnym głosem, który mnie poruszył. Przypomniał mi się tytuł jego filmu: *Lipcowe spotkanie*. Właśnie był lipiec. Bardzo gorąco, a ja letnią nocą krążyłem po tym nieobecny mieście. Ja też, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, wróciłem do Paryża na lipcowe spotkanie.

— Ale skąd pewność, że to właśnie Maillot?

Wzruszył ramionami.

— Chce pan się przekonać?

Przycisnął gwałtownie gaz: zostawiliśmy lancję za sobą i zatrzymaliśmy się nieco dalej w alei, w pobliżu placu Stanów Zjednoczonych.

— Teraz niech pan uważa... Przejedzie koło nas... Jedźcie dość wolno... Będzie pan miał czas go zobaczyć...

Przycisnąłem czoło do szyby.

— Przede wszystkim, niech pan dobrze uważa...

O kilka centymetrów ode mnie przesunął się profil. Regularny profil, który mógł być profilem Georges'a Maillot, pod hełmem białych włosów. Miał na sobie płaszcz nieprzemakalny, również biały, z podniesionym kołnierzem. Lancia jechała dalej przed nami w dół alei.

— No jak? Poznał go pan? — spytał Carpentieri.

— Tak.

Nie chciałem go rozczarować.

— Ale przecież Georges nie miał siwych włosów...

— Nie miał. Ale teraz...

Westchnął.

— To tak jak ja... Uważa pan, że przypominam jeszcze Tintina?

Znów ruszyliśmy w ślad za lancia. Wkrótce za nami z kolei zaczął jechać jakiś inny samochód. Potem drugi. Trzeci. Tak, niedługo utworzy się orszak jakiegoś ni to pogrzebu, ni to pielgrzymki.

— Co pana rozśmieszyło? — spytał Carpentieri.

— Nic.

Teraz lancia jechała aleją Prezydenta Wilsona.

— Często zatrzymuje się tutaj... Przed ogrodzeniem muzeum Galliera...

Ale nie. Lancia jechała dalej.

— Ma pan szczęście... Tej nocy nigdzie się nie zatrzymuje...

Okrążyła plac Jeny i wjechała w aleję Piotra I Serbskiego. Przejechaliśmy koło „Calavados”, dokąd Carmen zabierała mnie często koło czwartej nad ranem. Bała się wracać do domu, a tu spotykaliśmy ludzi, którzy jak ona nie mogli się zdecydować pójść spać. Właśnie w „Calavados” Carmen przedstawiła mi pewnej nocy Rubiroseę. To tu spotkałem po raz pierwszy Haywardów i uderzyła mnie — dziwna rzecz — uroda i dystynkcja tej pary. To tu przysiadali się coraz liczniej do naszego stolika, koło meksykańskiej orkiestry, Mario P., Sierra Dalle, Ludo Fouquet, Favart, Andrea Karvé i tylu innych, i bałem się, że Carmen przestanie zwracać na mnie uwagę, że zapomni mnie wśród tych ludzi i utracę ją na zawsze...

— O czym pan myśli? — zapytał Carpentieri.

— O niczym.

Myślałem, że jedziemy za tym białym samochodem tą samą drogą, którą chadzałem pieszo, o świcie, odprowadzając ją z „Calavados” do domu. Aleja Montaigne’a. Plac Alma. Nie zdążyłem przyjrzeć się oknom od strony ulicy Jeana Goujon widziałem tylko ogrodzenie

chroniące ogródek pod oknami mieszkania. Żadnego światła. Carmen już dawno musiała opuścić to miejsce. Co się z nią stało? Nie śmiałem zapytać Tintina. Zresztą, jeśli wierzyć jego zeznaniom, nie znał Carmen zbyt dobrze. Postanowiłem jednak zaryzykować i odchrząknąwszy spytałem:

— Maillot miał przyjaciółkę, która mieszkała tu na parterze, za tym ogrodzeniem...

— Tak?

— Nie znał jej pan?

— Nie.

Byłem pewien jego odpowiedzi. Nikt nie odpowiada nigdy na pytania, które nam leżą na sercu. Ale to nie miało znaczenia: sam mogłem się dowiedzieć, co się stało z Carmen. Nie, ten mało ważny kompars nie był mi do tego potrzebny.

— Maillot znał tyle kobiet... — odezwał się. — W końcu pogubiłem się w tym.

Jechaliśmy za lancią w górę alei Montaigne'a.

— Gazety podały, że umarł na alei Montaigne'a — powiedziałem.

— Tak pisali... Ale to nieprawda...

Tintin zatrzymał się prawie u wylotu alei, tam gdzie dawniej był warsztat samochodowy. Lancja powoli oddalała się od nas, minęła Rondo i wjechała w aleję Matignon.

— Zgubi go pan — powiedziałem.

— Wróci aleją Montaigne'a w przeciwnym kierunku... Możemy tu zaczekać...

— Jestem zmęczony... Chciałbym wrócić do hotelu.

— Nie może nas pan tak zostawić...

Odwrócił ku mnie głowę jakby spłoszony.

Prawda. Nie mogłem ich tak zostawić. Teraz, kiedy już włożyłem rękę w tryby, nie mogłem się wycofać. I serce

ściskało mi się na widok tej wielkiej pucioławatej gęby, tych niespokojnych oczu.

— Ile nocy jeszcze chce pan tak za nim jeździć?

— Nie wiem... Cierpię na bezsenność... To mi nie przeszkadza...

— Ale powinien pan jednak zdecydować się przemówić do niego...

— Próbowałem — powiedział głucho.

Znów podniósł ku mnie swoją wymiętą twarz.

— Nic nie słyszy... Siedzi przy kierownicy zupełnie sztywno... jakby był z drewna... Trzyma się bardzo prosto... głowa wysoko uniesiona... Prawdziwy somnambulik...

Otworzył skrytkę pod przednią szybą.

— Jednej nocy, kiedy zatrzymał się przed muzeum Galliera, wyszedłem z samochodu i zrobiłem mu zdjęcie... Aparatem Instamatic... Jeśli chce pan zobaczyć...

Zapalił światelko na suficie i podał mi dwa zdjęcia.. Mogłem na nich rozróżnić tylko białe drzwiczki samochodu i w ramie szyby — podniesiony biały kołnierz płaszcza. Cała reszta była czarna.

— Nie posunęło mnie to za daleko — powiedział Carpentieri.

Ale u wylotu alei Montaigne'a znów pojawiła się lancia i jechała w naszym kierunku. Carpentieri zaczął chwilę i zawrócił.

— Długo jeszcze będziemy za nim jechać?

— Nie... Spokojnie... Niedługo koniec...

Mówił z urazą w głosie, jakbym popełnił jakieś świętokradztwo.

— Rozumiem, że to się może wydawać stratą czasu komuś, kto nie był naprawdę blisko z Georges'em Maillot.

— Ja byłem.

— Nie tak jak ja.

Wolałem nie odpowiadać.

Plac Alma. Nie mogłem się powstrzymać, by nie spojrzeć jeszcze raz w kierunku mieszkania Carmen. Wszystko było czarne. Mały placyk i ławka na nim, ogrodzenie, okna, kamień fasady. Wszystko z wyjątkiem korony drzewa w ogrodzie, w której odbijał się jakiś zielony poblask. Przypomniałem sobie, jak zjawiłem się tu pierwszy raz. Jechałem z Dworca Lyońskiego. Jazda przez wiosenny Paryż i to poczucie, że zaczynam żyć, którego nigdy więcej nie zaznałem...

Minęliśmy Cours Albert I, potem Cours-la-Reine. Biała lancia sunęła środkiem jezdni, ale to nie miało znaczenia: żaden samochód nie jechał z przeciwnego kierunku. Cours la Reine był wielką leśną aleją i nie wiadomo było, na co nas wyprowadzi. Morze?

Na wysokości pomnika Alberta I lancia zawróciła. Trawnik obrzeżony platanami. Czasem przechadzałem się tu nocą z Carmen. Albo samotnie. Przechylałem się ponad parapetem nadbrzeża, by popatrzeć na Port Paryski i statki stojące na kotwicy.

— Nasze ostatnie kółko — powiedział Tintin posępnym głosem.

Wjechaliśmy w ślad za lanią na most Aleksandra III, ale Tintin zatrzymał się w połowie mostu i zgasił silnik. Lancia oddaliła się od nas i jej biała karoseria znikła u wjazdu w nadbrzeże Orsay.

— No to koniec...

— Czy jedzie pan za nim dalej?

— Tak... Przejeżdża wzdłuż nadbrzeży do mostu Gari-gliano... Przez Porte Saint-Cloud wjeżdża na Autostradę Zachodnią... Jedzie nią około godziny... Potem zawraca w kierunku Paryża... To może trwać całymi godzinami...

— I nie wie pan, gdzie mieszka?

— Mam wrażenie, że gdzieś między Saint-Cloud a Suresnes... W Val d'Or... Gubi mnie zawsze w okolicy Val d'Or...

Twarz mu posmutniała.

— Nie chce pan przejść się trochę po powietrzu?

— Dobrze.

Wyszliśmy z samochodu i oparłem się o balustradę mostu. Poczułem zniechęcającą wielką pustkę. Brakowało mi jej, tej białej lancyi.

Zawsze lubiłem widok z tego mostu. Po prawej — Trocadéro i wznoszące się piętrowo domy Passy, za którymi wyobrażałem sobie park na zboczu i niegdysiejsze domki letniskowe. A po drugiej stronie — światła placu Concorde. I Sekwana migocząca czerwonymi i srebrnymi błyskami. Było tu mniej gorąco i oddychało się lżej. Jedna z latarni rozstawionych na parapecie z pozieleniałego brązu oświetlała twarz stojącego koło mnie Carpentieri. W żółtym świetle latarni ta twarz zdawała mi się cięższa i bardziej wymięta niż przed chwilą. Wargi miał zaciśnięte w nadąsanym grymasie, a brwi zmarszczone, jakby miał zacząć płakać. Milczał. Nie potrzebował mi niczego wyjaśnić. Rozumiałem wszystko. W pewnym wieku musi być bardzo trudno przypominać Tintina.

Zatrzymał się przy ulicy Rivoli. Uścisnąłem mu rękę.

— Może się znów zobaczymy — powiedziałem.

— Chętnie... Kręcimy jeszcze przez dwa tygodnie, w tym samym miejscu... Wie pan, gdzie mnie znaleźć...

— A nawet mógłbym panu towarzyszyć jeszcze raz w pościgu za lancyą...

Ale od razu pożałowałem, że powiedziałem to z lekką ironią.

— Jak pan chce — powiedział mi sucho. — W każdym razie ja jeżdżę teraz za samochodem Maillota każdej nocy... To mi wypełnia czas...

— Do prędkiego.

— Do zobaczenia. Jeśli nie znajdzie mnie pan na planie, to proszę zostawić karteczkę na nazwisko Tintin Carpentieri.

Ruszył z miejsca z piskiem opon. Nawet nie zapytał o moje nazwisko ani o adres.

Kawiarnia pod arkadami była otwarta. Usiadłem przy barze. Świtało i mgielka zwiastująca upał przysłała już ulicę i ogrody Tuileries. Chciało mi się pić. Zamówiłem butelkę wody mineralnej.

Jeszcze nie czułem zmęczenia. Byłem niczym podróżnik, który dotarł do celu i dziwi się, że nie czuje już wstrząsów pociągu.

W hotelu chciałem zaczekać do dziesiątej, żeby zadzwonić do żony, ale zasnąłem w ubraniu na łóżku. Obudziłem się dopiero wczesnym popołudniem. Poprosiłem o połączenie z numerem 01-13-24 w Klosters. Słuchawkę podniosła miss Mynott.

— Dzieci pojechały z mamą na piknik, proszę pana.

— Wszystko w porządku?

— W porządku. Dzieci są w świetnej formie.

— A żona?

— Pani wygląda bardzo dobrze. Czy mam jej coś powtórzyć od pana?

— Proszę powiedzieć, że zadzwonię wieczorem.

— Dobrze, proszę pana.

— Nie pamiętam, czy ma numer mojego hotelu, ale w każdym razie sam do niej zadzwonię.

— Chciałabym, żeby pan wiedział, że dzieci nie oglądają już wieczorem telewizji.

— Bardzo się cieszę.

— Ja też.

— A jaka tam u was pogoda?

— Słońce.

- Nie za gorąco?
- O, nie... powietrze jest bardzo świeże.
- Macie szczęście. Do widzenia pani.
- Do widzenia panu.

Odwiesiłem słuchawkę i ten prosty gest wprowadził mnie w chwilę rozterki. Byłem tak daleko od świeżości Klosters i wydawało mi się nagle, że nurzam się w letniej zgniłej wodzie.

Przeszukałem starannie skoroszyt, ale nie znalazłem żadnego protokołu przesłuchania Georges'a Maillot. Ale na stronie 21 trafiłem na „notatkę” na jego temat.

9 lipca 1965

Pan Maillot Georges, Louis, ur. 21 lipca 1920, w Paryżu (X), poślubił 12 maja 1960 w Rzymie (Włochy) Marię Giovannę Piestri, ur. 15 września 1935 w Rzymie (Włochy).

Od 1960 zamieszkuje pod następującym adresem: Ara Coeli 5, Rzym (Włochy).

Pan Maillot podczas swych częstych pobytów w Paryżu zatrzymuje się w hotelu „Triumpf”, ul. Troyon 1^{bis} (XVII).

P. Georges Maillot zadebiutował jako filmowiec w roku 1941 w Paryżu. Przedtem utrzymywał się z różnych dorywczych prac na Lazurowym Wybrzeżu. Następnie nakręcił kilka filmów, we Francji bądź we Włoszech, ale w latach 50 porzucił kino.

Od tego czasu czerpie dochody przypuszczalnie z handlu starymi meblami i dziełami sztuki. Jego żona posiada duży majątek we Włoszech.

P. Maillot zna panią Carmen Blin od 1945, kiedy nie była jeszcze zamężna za p. Lucienem Blin i nazywała się Carmen Chauvière.

Bywa u niej często przy Cours Albert I. Zna doskonale Fouqueta, Jean T., Favarta, Mario P., panią Karvé, Filipa i Martine Haywardów, wszystkich znajomych pani Carmen Blin.

W hotelu „Triumpf” przy ulicy Troyon 1^{bis} mieszkał również wyżej wymieniony Jean Dekker, którego Maillot również znał bardzo dobrze i który był bliskim znajomym pani C. Blin.

Tym razem nie filmowali sceny u wejścia do pagody, tylko przenieśli się wszyscy w głąb ulicy Rembrandta, a reflektory oświetlały bramę parku Monceau. Zbliżyłem się do nich na czubkach palców. Mężczyzna o siwych włosach uczesanych na jeża opierał się o pręty ogrodzenia i wołał:

— Heleno!... Heleno!... Heleno!... — a tymczasem jakiś cień nadchodzący od strony parku wchodził w strefę światła. Był to wysoki Japończyk w granatowym płaszczu nieprzemakalnym ze złożonymi naramiennikami. Szedł w kierunku siwowłosego mężczyzny i po chwili dzieliło ich tylko ogrodzenie.

— Heleny już tu nie ma — powiedział Japończyk wyraźnie artykułując sylaby, tonem recytatywu. — Proszę jej nie wołać, nie odpowie...

— Łajdak!...

Obelga trzasnęła niczym flaga na wietrze od morza. W tej samej chwili reżyser podniósł rękę i trzeba było kręcić scenę od nowa.

Skorzystałem z przerwy między dwoma ujęciami, by wmieszać się w grupę filmowców, ale żaden z nich nie zdawał się zauważać mojej obecności, jakbym należał do ekipy. Nie śmiałem zaczepić reżysera, który o kilka kroków ode mnie w zamyśleniu obgryzał paznokcie. Krótko ostrzyżona brunetka przeglądała jakieś papiery, od czasu do czasu zaznaczając coś ołówkiem na którejś z kartek. Podeszedłem do niej:

— Chciałbym się zobaczyć z Tintinem Carpentieri — wyjąkałem. — Nie wie pani, czy jest tutaj?

— Tintin? Nie... nie ma go...

— A gdzie mógłbym go znaleźć?

— Niech pan zapyta Caro...

Nieokreślonym gestem wskazała mi brunecika o okrągłej twarzy. Reflektory rzucały ostre światło na jego okulary w oprawie z miki i granatowe sandały. Wołał coś do

każdego, kto koło niego przechodził. Jakieś polecenia? Rady?

Dotknąłem jego ramienia.

— Nie wie pan, gdzie jest Tintin Carpentieri?

— Carpentieri? Nieobecny od trzech dni.

— Dlaczego?

— Spytaj go pan!

— Myślałem, że pracuje tutaj codziennie...

— Jestem równy gość... Chciałem dać mu ostatnią szansę... Ale teraz wiem... Nic się nie da zrobić z takim facetem jak Carpentieri...

Stałem przed nim osłupiały, a że jestem wysoki, a on nie sięgał mi nawet do ramion, cofnął się, by zrobić sobie miejsce i przyjrzeć mi się niezbyt przychylnym wzrokiem.

— Jeśli jest pan jego przyjacielem, niech mu pan ode mnie powie, że jest nieodwołalnie spalony... nie-od-wo-łał-nie... Nikt więcej nie przyjmie go do roboty... Już moja w tym głowa...

— Czy może mi pan podać jego numer telefonu?

— Może go pan poszukać w spisie...

Nie było odwołania. Zrobił ruch, jakby mnie odsuwał od siebie, nie zwracał już na mnie żadnej uwagi.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy Courcelles i wróciłem do mieszkania Ghity Wattier. Zostawiłem oświetlone żyrandole i otwarte okna, tak jak mnie prosiła. Upał stopniowo ogarniał to miejsce, które za pierwszym razem wydało mi się chłodne jak jaskinia. Przetrzęsnałem całe mieszkanie w poszukiwaniu książki telefonicznej i wreszcie znalazłem ją w pokoju, w którym Ghita złożyła archiwum Rocroy.

Carpentieri Robert, ul. Brunel 5^{bis}, 762-32-49. Był to ten sam adres co w skoroszycie, a poza tym w Paryżu był z pewnością tylko jeden Robert Carpentieri.

Wykręciłem numer. Odgłos podnoszonej słuchawki. I kobiecy głos w rodzaju tych, które na lotniskach ogła-

sują odloty i przyloty samolotów, powiedziały: „Nie ma już abonenta pod tym numerem.”

Oczywiście, mogłem jeszcze raz spytać małego grubasa, tam, na dole, o właściwy numer Tintina. A gdyby mnie zbył, mógłbym próbować dowiedzieć się od kogoś innego z ekipy. Mogłem też pójść na ulicę Brunel 5^{bis}. Ale z góry wiedziałem, że tego nie zrobię i zadowolę się wsłuchiowaniem w ten cichy i chłodny głos: „Nie ma już abonenta pod tym numerem.”

Dla kogoś takiego jak ja wysłuchiwanie takich rzeczy to ważna rzecz. Pobudza wyobraźnię.

Zgasilem lampę i położyłem się na kanapie w salonie. Od czasu do czasu jakiś samochód hamował raptownie przed czerwonym światłem przy ulicy Courcelles, a potem ostro ruszał. I powracała cisza.

Przyglądałem się ceniom na suficie, tak jak niegdyś w pokoju hotelu „Triumpf” gdzieś koło siódmej wieczorem. Miałem dwadzieścia lat, leżałem z szeroko otwartymi oczami i zastanawiałem się, jaki obrót przybierze moje życie. Później, w pokoju na Hammersmith, tam gdzie zacząłem swoją pierwszą książkę, widziałem te same cienie na suficie. Nie zasnę tej nocy. Za gorąco, a jeszcze to milczenie Paryża... Zamykam oczy i biały samochód sunie nieustannie przez moją głowę. Taki biały, wzdłuż ciemnych ulic i fasad.

Niedługo świt. Ulży mi, kiedy słońce przepędzi cienie z sufitu. Już pierwsze promienie kładą się na klepkach parkietu i książkach biblioteki Rocroy. Jest w tym wszystkim coś uspokajającego... Lśniące w słońcu rzędy książek. I pagoda, naprzeciw, ochrowa w błękitnej mgiele. I Paryż, bardzo wcześnie, lipcowym rankiem. Tak, teraz mi lżej. Wiem, co mam zrobić. Jak mogłem o tym przedtem nie pomyśleć?

I wydało mi się czymś zupełnie naturalnym nakreślić numer 01-13-24 w Klosters, siedząc w tym mieszkaniu Rocroy, związanym przecież z całą, tak już dawną epoką mego życia. Tak, naturalnym. Może z powodu słońca, które tego ranka falami wchodziło do pokoju. Albo z powodu postanowienia, które podjąłem. Czułem lekkość w sercu. A może przeszłość i teraźniejszość miesza się z sobą? Może istnieje jednak, na przekór wszystkim, z pozoru tak rozmaitym perypetiom życia, jakaś utajona jedność, jakiś przeważający zapach?

— Pani śpi.

Poznałem zaspany głos miss Mynott.

— Obudziłem panią, miss Mynott.

— Nie... nie, proszę pana... wcale.

— Jak tam dzieci?

— Bardzo dobrze, proszę pana. Wyglądają wspaniale.

— A żona?

— Jak zawsze, cieszy się, że jest w Klosters.

— Nie nudzi się zbytnio?

— Nie... nie... Widuje pańskich przyjaciół. Wszyscy są tutaj. Pan Irwin Shaw przyjdzie niedługo na śniadanie.

— Proszę go pozdrowić ode mnie.

Shaw był jedynym kolegą po fachu, z którym się przyjaźniłem.

— Proszę powiedzieć żonie, że zostają jeszcze jakieś dwa tygodnie w Paryżu. I że napiszę do niej list, żeby wszystko wyjaśnić.

— Szkoda, proszę pana. W Klosters jest tak pięknie... A dzieci trochę tęsknią za panem.

— Proszę się nie martwić. Będę tam za dwa tygodnie.

— Ależ nie martwię się, proszę pana...

Wychodząc z pokoju Ghity Wattier natknąłem się na swoją twarz w lustrze. Nie goliłem się już od dawna. Mało mnie obchodziło, czy w ciągu najbliższych dni nie zacznę przypominać włóczęgi. W Klosters było pięknie, ale ja

musiałem teraz zjechać na dno studni, by po omacku szukać czegoś w czarnej wodzie.

Wyszedłem i ruszyłem ulicą Courcelles. Słońce grzało mocno, ale jego promienie nie tylko nie przytłaczały mnie, lecz dodawały mi otuchy. Wypiłem kawę na pustym tarasie przy bulwarze Haussmanna. Szczęśliwym trafem o kilka kroków dalej natknąłem się na papeterię. Kupiłem trzy bloki papieru listowego dużego formatu, bez linii. I pióro. Zwykły flamaster *florida blue*.

Paryż 9 lipca

Droga Katy,

Wolę napisać list niż dzwonić do Ciebie. Może nie powinienem był nigdy umawiać się z tym Japończykiem w Paryżu... Ale to był tylko pretekst: po tylu latach chciałem wrócić do tego miasta, które kiedyś coś dla mnie znaczyło, i zobaczyć je ostatni raz... Zostanę tu jeszcze jakieś dwa tygodnie, tyle, ile trzeba, żeby napisać o wszystkich tych rzeczach, z którymi kojarzy mi się Paryż i które są moimi pierwszymi krokami w życiu... Nie smuć się tym wszystkim, moja droga Katy. Całuję Cię. Ucałuj ode mnie dzieci. I przekaz pozdrowienia Irwinowi Shaw.

Kocham Cię

Ambrose

Po powrocie do mieszkania zacząłem pisać, siedząc z podwiniętymi nogami na kanapie w salonie, z blokiem papieru na kolanach. Drzwi balkonowe zostawiłem otwarte. Jest bardzo gorąco. Mniejsza z tym. Teraz, kiedy przeszedłem do zeznań, muszę dać nura w te odległe lata.

Zanim zostałem angielskim powieściopisarzem Ambrose'em Guise, zadebiutowałem w życiu jako bagażowy. Tak. Bagażowy. To jedyny zawód — poza zawodem pisarza — jaki kiedykolwiek wykonywałem.

Miałem dwadzieścia lat i spędzałem kilkuniedniowe wakacje w Górnej Sabaudii, w pewnej miejscowości narciarskiej, wakacje, które miałem niedługo przerwać: pieniędzy zostało mi ledwie na bilet powrotny. W jakim kierunku — nie umiałbym nawet powiedzieć.

Śnieg zaskoczył mnie na szosie do Rochebrune, a że nic nie widziałem na metr przed sobą, schroniłem się w hallu pierwszego napotkanego hotelu. Elektryczność nie działała. Hall był pogrążony w półmroku i recepcjonista postawił na swoim biurku latarkę, którą od czasu do czasu brał do ręki, żeby poszukać za sobą, w szafeczce z przegródkami, kluczy lub poczty któregoś z gości. Była ta nieokreślona godzina, którą dobrze znałem z Paryża: ciemność z wolna zapada, ale latarni jeszcze nie zapalono i bryły budynków odcinają się na tle nieba tak, jak tego wieczoru odcinały się sylwetki gości hotelowych prze-

chodzących przez hall lub siedzących bez ruchu w skórzanym fotelach. I teraz, kiedy piszę te słowa, nie mogę powstrzymać się od myśli, że nie, to na pewno nie był przypadek, że po raz pierwszy spotkałem Carmen właśnie o tej porze. Jeśli jest w ciągu dnia jakaś szczególna godzina, która może się z kimś kojarzyć, to dla mnie Carmen zawsze będzie łączyła się z tą subtelną i przejmującą chwilą, kiedy dzień się kończy.

Usiadłem w kącie, tuż koło recepcji. Usłyszałem słowa portiera:

— Ależ oczywiście, proszę pani... Natychmiast...

Mówił ze skwapliwością, która mnie zdziwiła i odbijała od suchego tonu, jakim odpowiadał innym gościom.

Potem wziął za telefon.

— Hallo... Chciałbym wiedzieć, czy samochód dla pani Blin jest gotów...

Odłożył słuchawkę.

— Już wszystko w porządku, proszę pani.

Spojrzałem wtedy na ową panią Blin, która była odwrócona do mnie plecami i opierała się swobodnie łokciem o kontuar recepcji. Latarka portiera oświetlała jej jasne włosy. Miała na sobie beżową futrzaną kurtkę. Nie była ani wysoka, ani mała. Zwróciła twarz nieco w moim kierunku i w jasnej wiązce światła z latarki zobaczyłem jej zafrasowaną minę.

Nie wyglądała na więcej niż trzydzieści pięć lat.

— Nie znalazłem jeszcze zadowalającego rozwiązania dla pani bagaży — powiedział recepcjonista.

— I co ja zrobię?

Jej zrozpaczony ton zaskoczył mnie. Z jakim dramatem wiązały się te bagaże?

— Nie wcześniej niż za cztery dni, proszę pani.

— Jestem pewna, że pan się dla mnie postara.

— Bardzo bym chciał, proszę pani, ale to niemożliwe.

— Dlaczego niemożliwe?

— Myślałem nawet, że sam je odwiozę do Paryża. Ale nie mogę opuścić hotelu ani na minutę. Zwłaszcza w tej chwili... Wszystko się wali... Mamy przerwy w dostawie prądu, a od rana nie działa ogrzewanie...

Rzeczywiście, w hallu było tak zimno, że goście siedzieli w płaszczach lub w strojach narciarskich. Niektórzy nawet pookrywali się pledami. Jeden z boyów zaczął rozstawiać świece na niskich stolikach, a kelner, z wielką tacą w ręku, roznosił napoje i przekąski.

— Ogrzewanie tego hotelu nie interesuje mnie. Jedyne rzecz, która mnie obchodzi, to bagaże...

— Świetnie to rozumiem, proszę pani.

— Musi pan zaraz znaleźć jakieś wyjście. Liczę na pana.

— Zrobię, co tylko będzie w mojej mocy, pani Blin.

Skrzyżowała ręce na kontuarze i uniosła głowę gestem zasłuchanej uczennicy. A więc o parę metrów ode mnie stała pani Lucienowa Blin. Wystarczyłyby dwa kroki, żeby znaleźć się przy niej, ale odległość wydawała mi się nie do przebycia. Wyjdzie z recepcji i zniknie, a ja zostanę osłupiały tu, w fotelu, myśląc o tamtej starej książce, którą odkryłem w Paryżu, na ogólnej sali szpitala Val-de-Grâce, gdzie leżałem zeszłej jesieni. Książka w brudnożółtej okładce, na której odcinały się ciemnoczerwone czcionki tytułu: *Jak zbili majątek*, i granatowe nazwiska ludzi w rodzaju sir Basila Zaharoffa czy komandora Drouilly. Bohaterem jednego z rozdziałów był Lucien Blin: jego dzieciństwo na dalekiej prowincji, przybycie do Paryża, błyskawiczny wzlot, jego sieć hoteli, kompleks sal widowiskowych, stadnina w Varaville... Jego żona, którą poślubił tuż po wojnie i która mogłaby być jego córką. Było tam nawet zdjęcie pani Lucienowej Blin, młodziutkiej, jak dziś jasnowłosej, między Blinem a dżokejem z męzowskiej stajni, który właśnie wygrał jedną z gonitw. Śmierć Blina w wypadku, nocą, na drodze z Varaville... Autor tego dziełka pisał stylem powieści przygodowych: „Lucien Blin znalazł się na

rozstajach życia. Jaką drogę wybierze?”, albo: „Miłość miała odtąd zajmować coraz więcej miejsca w życiu Luciena Blin”, albo: „— To pańskie ostatnie słowo, panie Blin? — Tak. Nigdy nie zmieniam decyzji.” W Val-de-Grâce byłem zbyt zmęczony, by czytać dobrych autorów.

— Taksówka będzie za kwadrans, proszę pani.

— A jak długo jedzie się do Genewy?

— Godzinę... Proszę się niczego nie obawiać... Samolot do Paryża odlatuje pięć po dziesiątej.

— Tak, ale pan wciąż nie wie, co zrobić z moimi bagażami... Czekam niecierpliwie na pański pomysł...

— Naprawdę, panie Blin, wprawia mnie pani w zakłopotanie.

Żeby dodać sobie otuchy, zapalał i gasił latarkę leżącą przy nim na kontuarze. A ja myślę, że gdyby nie było tego wieczora awarii elektryczności... Półmrok ułatwiał sprawę.

Podszedłem do recepcji. Nachyliłem się do pani Blin.

— Proszę pani...

Odwróciła się. Portier podniósł głowę.

— Przepraszam za niedyskrecję... ale jeśli dobrze zrozumiałem, martwi się pani o swoje bagaże...

Sam byłem zdumiony, że słowa wychodzą mi z ust wyraźne, dźwięczne.

— Jeśli mogę pani jakoś pomóc...

Wzięła z kontuaru latarkę i skierowała ją ku mojej twarzy.

— Ale my się nie znamy...

Światło mnie oślepiło, ale starałem się trzymać oczy szeroko otwarte.

— Wracam jutro do Paryża... Jeśli pani chce, mogę pani pomóc...

Znów mnie zdumiał mój stanowczy ton, jakbym to nie ja wymówił to zdanie, tylko kto inny.

— Zgodziłby się pan zabrać moje bagaże do Paryża? — spytała cicho pani Blin.

— Oczywiście, proszę pani.

— To jest najmniej z dziesięć walizek...

Postawiła latarkę pionowo na kontuarze w ten sposób, że oświetlała nas oboje.

— Jak pan da sobie radę z dziesięcioma walizkami? Jedzie pan pociągiem?

— Tak, nocnym pociągiem.

— Mogę wykupić dodatkowy przedział, żeby w nim złożyć bagaże — wtrącił się portier. — O której ma pan pociąg?

— Jutro o szóstej wieczorem.

Zanotował to sobie na kartce.

— Którą klasą pan jedzie?

— Drugą.

— Byłoby lepiej, gdyby pan pojechał pierwszą. Łatwiej mi będzie wykupić przedział pierwszej klasy na bagaże pani Blin.

— Jak pan woli.

Dla pani Blin byłem gotów na wszystko.

— I w Paryżu przywiezie mi pan walizki do domu?

— Oczywiście... nic prostszego...

— Jean, czy pan myśli, że można mu zaufać?

Recepcjonista przyglądał mi się zimnym wzrokiem. Nie odpowiadał.

— Ja myślę, że można...

Włożyła do ust papierosa. Sięgnąłem do kieszeni i miałem szczęście znaleźć w niej jedną z tych tanich zapalniczek, marki Cricket. Przysunęła się do mnie, by zapalić papierosa. Poczulem dotyk jej ramienia. I jej zapach.

— Tak czy inaczej, trzeba zaryzykować.

— Ale ze mną pani nic nie ryzykuje...

Przestraszyłem się nagle, że zmieni zdanie.

— Pan jest studentem?

— Nie.

— Nie uważa pan, że on jest dziwny, ten chłopak?

— Dziwny? Dlaczego?

Recepcjonista przyglądał mi się bez żadnej sympatii.

— Taksówka czeka na panią.

Miał zamiar ją odprowadzić, ale ona podała mu rękę.

— Nie... Proszę się nie fatygować... Ten pan mnie odprowadzi... Do widzenia, Jean...

— Do widzenia pani... I proszę się nie martwić o bagaże... Wszystkim się zajmę, razem z panem...

Wyszliśmy z hotelu, pani Blin i ja. Noc jeszcze nie zapadła, a śnieżycą ustała. Taksówka czekała hucząc dieslowskim silnikiem.

— Nigdy już tu nie wrócę — powiedziała mi tonem zwierzienia. — Ta chałupa mnie przygnębia.

— Jaka chałupa?

— Moja.

Wzięła mnie pod rękę, bo dróżka prowadząca spod hotelu do szosy była pokryta miękkim śniegiem, w którym grzęzły nogi.

Poprosiła taksówkarza o ołówek i kawałek papieru.

— Daję panu mój adres i telefon w Paryżu. Zadzwoń pan do mnie, kiedy przyjedzie z bagażami... Będę w Paryżu już dziś wieczór... Jak pan się nazywa?

— Jean Dekker. Przez dwa k...

Zapisała to na karteczce, którą przedarła na dwoje. A jej jasne oczy zatrzymały się na mnie przez chwilę, jakbym ją zaintrygował czy zaciekawił, albo raczej — jakbym wydał jej się do kogoś podobny.

Uśmiechnęła się jeszcze do mnie z za szyby taksówki. Śledziłem wzrokiem samochód do chwili, kiedy zniknął za pierwszym zakrętem. A potem, ponieważ zdawało mi się, że śnię, rozłożyłem karteczkę, na której wypisane było czarno na białym: „Carmen Blin. Cours Albert I 42^{bis}, tel. Trocadero 15-28.”

W hallu hotelu naprawiono światło. Latarka stała w tym samym miejscu, wciąż pionowo na kontuarze recepcji, a portier zapomniał ją zgasić.

— No jak, umówił się pan z panią Blin?

— Tak... Tak... wszystko w porządku...

— Wybawił mnie pan z kłopotu... Żąda czasem takich trudnych rzeczy...

— Dawno ją pan zna?

— Od zawsze, proszę pana. Dwadzieścia lat pracowałem w hotelach jej męża.

— Była żoną Luciena Blin?

— Oczywiście. Czyją żoną by miała być, pańskim zdaniem?

— Przepraszam. Blin zmarł, kiedy miałem dziesięć lat, i nie musiałem go znać.

— Oczywiście, proszę pana... Oczywiście. Nie mam do pana pretensji... Pan jest taki młody...

— Miał stajnię wyścigową, zdaje się?

— Zielona kurtka, biała czapeczka....

W duchu obiecałem sobie zapamiętać to: zielona kurtka, biała czapeczka. Odtąd te dwa kolory były w mojej wyobraźni nieodłącznie związane z blond włosami Carmen Blin.

Recepcjonista nachylił się ku mnie.

— Zacząłem pracować dla Blina w Varaville... Jako stajenny... Widzi pan, to zaczęło się wczoraj... Znałem Blina, zanim ożenił się z nią...

Popatrywał chyłkiem w prawo i w lewo. Może bał się, by kto nie usłyszał tego, co mówi.

— Bardzo lubię panią... — powiedział cicho — bardzo... Tylko że po śmierci Blina dopuściła, żeby wszystko poszło w rozsypkę... To nie jej wina... Nie umiałyby się zająć stajnią... Niczym innym zresztą też nie... Kiedy pomyślę, że nie ma już Varaville, a ja jestem portierem tu, w górach... Ale nie mam do niej żalu...

Jego wymięta cera pod wpływem wzruszenia czy gniewu przybierała ceglastą barwę. Nie śmiałem wypytywać go więcej z obawy, by nie wzbudzić w nim zbyt bolesnych wspomnień. Wyprostował się i odetchnął głęboko.

— A więc rezerwuję jeden przedział na bagaże pani Blin i jedno miejsce sypialne dla pana? Na jutro na pociąg wieczorny... Tak, proszę pana?

— Tak... tylko... nie mam dość pieniędzy, żeby...

— Proszę się nie martwić... Pani Blin weźmie to na siebie.

Odzyskał nagle wyraźny głos i nieco chłodną uprzejmość, odpowiednie do jego funkcji.

Kamionetka zatrzymała się pod bramą hotelu. Kamionetka z zieloną, brezentową budą. Kierowca czekał siedząc na stopniu.

— Na pewno zabrałeś wszystkie bagaże z domku pana Blin? — spytał recepcjonista.

— Sprawdzaj, staruszkule... sprawdzaj — powiedział kierowca, kędzierzawy blondyn, z wyglądu były instruktor narciarski.

Recepcjonista wyjął z kieszeni kartkę papieru. Odwrócił się do mnie.

— Telefonowała po południu i podała mi pełną listę bagaży... Zobaczmy najpierw, co z bagażami z domku.

Skierował światło swej latarki do wnętrza kamionetki.

— Kufro-szafa... wielki wór podróżny z brązowej skóry... dwie walizeczki z krokodyla... cztery walizy jasno-beżowe... Pudło na kapelusze...

Kolejno sprawdzał wszystko na liście.

— Do tego cztery walizki z płótna i skóry, które zostawiła tutaj...

Były złożone w hallu. Portier, kierowca i ja załadowaliśmy je do kamionetki.

Portier podał mi kopertę.

— Pański bilet na pociąg...

Usiadłem koło szofera. Portier stanął na stopniu.

— Nie wiem, jak pan da sobie radę na dworcu w Saint-Gervais... Nie ma bagażowych... Henri, pomożesz mi?

— Zobaczy się — powiedział kierowca.

— Szczęśliwej podróży — powiedział portier. — I proszę pozdrowić ode mnie panią Blin.

Kierowca ruszył. Trzymał kierownicę jedną ręką, drugą podsuwał mi paczkę papierosów.

— Ta pani zawsze jeździ z takim bagażem?

— Nie wiem.

Tak, nie wiedziałem nic. Jechałem tą górską drogą w nieznanę.

Pociąg stał na dworcu około dziesięciu minut. Widzę teraz jak na fotografii pusty peron, żółte światło poczekalni i uchylone do niej drzwi. A nieco dalej — dwa cienie, numerowego i kierowcy kamionetki, siedzących na wózku bagażowym. Pałą. Opuszczam szybę przedziału i słyszę pomruk ich głosów.

Wreszcie pociąg rusza łagodnie. Ciemności jeszcze nie zapadły. Oglądam krajobraz. Góry, tartaki, strumienie, białe płaszczyzny, spod których zaczynają już wyzierać trawa i skała. W swoim czasie spędziłem kilka chłopięcych lat w pewnym liceum w tych stronach i ilekroć opuszczałem Górną Sabaudię, odczuwałem lekkie drżenie serca. Salanches. Cluses. Aix-les-Bains. Jezioro i porzucone pontony. I właśnie w Górnej Sabaudii poznałem panią Lucienową Blin. Nikogo w korytarzu. Cały wagon pusty. Jestem jedynym pasażerem tego pociągu i zastanawiam się, ku jakiemu przeznaczeniu mnie wiezie. Pociągam więc zasuwane drzwi przedziału i zamykam je za sobą. Podnoszę głowę i w świetle lampki sufitowej oglądam po kolei bagaże Carmen.

Mało spałem. Pociąg mijał pędem pierwsze dworce podmiejskie, a ja wcale nie czułem zmęczenia. Villeneuve-Saint-Georges. Maison-Alfort. Kiedy zajechałem na Dworzec Lyoński, pomyślałem, że moje życie przybierze niedługo nowy obrót, i spojrzałem na zegarek. Była siódma dwadzieścia pięć rano.

Przywołałem dwóch bagażowych. Mieli sporo kłopotu z kufro-szafą.

— Idziemy na postój taksówek?

— Tak... Na postój taksówek — powiedziałem niezbyt pewnie.

We dwójkę pchali swój wózek bagażowy, a ja szedłem za nimi krokiem równie uroczystym co oni. Pogrzebałem po kieszeniach i zebrałem trzydzieści franków i dwieście siedemdziesiąt centymów. Poprzedniego dnia, w chwili kiedy pociąg odjeżdżał z Saint-Gervais, zauważyłem, że zgubiłem portfel.

Szykowali się do wyładowania bagaży na chodniku, na wysokości postoju taksówek.

— Przepraszam... Nie mogliście ich złożyć w jakimś spokojniejszym miejscu? — wyjąkałem.

Znów chwycili więc za wózek i przepchnęli go przez cały dworzec, aż do wejścia do restauracji „Błękitny pociąg”, i tam zablokowali jedno skrzydło drzwi którymś z kuferków pani Blin. We dwóch poukładali bagaże u stóp schodów prowadzących do restauracji. Zapłaciłem im i kiedy zostawili mnie samego, usiadłem na kufro-szafie, którą złożyli na ziemi, poziomo.

W kieszeni miałem już tylko trzy franki siedemdziesiąt pięć. Nie sposób wieść tych wszystkich bagaży metrem. Przemierzyłem pustą restaurację. Przy barze, w głębi, kelner w białej kurtce czekał na pierwszych klientów. Poprosiłem go o żeton do telefonu i w kabinie zacząłem grzebać w wewnętrznej kieszeni kurtki w poszukiwaniu numeru pani Blin.

Z bijącym sercem wykręciłem TRO 15-28. Odpowiedział mi męski głos.

— Czy mogę rozmawiać z panią Blin?

— Pani śpi.

Kilka sekund ciszy. W końcu pytanie:

— Kto mówi?

— W sprawie bagaży pani Blin.

— Bagaży pani Blin?

Jego głos złagodniał.

— Tak... Bagaże pani... Nie wiem, jak je przywieźć tam do niej... Nie mam samochodu... Jestem na Dworcu Lyońskim...

— Jest pan na Dworcu Lyońskim?

— Tak. Mam ze sobą jakieś dziesięć walizek i kufro-szafę, które pani Blin powierzyła mi w górach.

— Proszę pana... Nie mogę obudzić pani...

— To co mam zrobić?

— Wysyłam do pana dwa samochody. Natychmiast. Dwa samochody... Mówi pan, że to na Dworcu Lyońskim?

— Tak, przed restauracją „Błękitny pociąg”.

Dwa wielkie, czarne, wynajęte samochody. Zatrzymały się jeden za drugim, a kierowcy wyszli z nich jak na komendę, obaj ubrani w beżowe garnitury.

Pomogłem im załadować bagaże. Złożyli jedno z podwójnych tylnych siedzeń większego samochodu i wsunęli do niego kufro-szafę. Podziwiałem zręczność, z jaką przenosili walizki, jakby nie wymagało to od nich najmniejszego wysiłku.

Usiadłem w pierwszym samochodzie, koło kierowcy. Ruszył powoli, a drugi samochód jechał o kilka metrów za nami. Na plakietce przyklepionej do przedniej szyby napisane było: „Kierowcy Francuscy”.

Bulwar Diderota. Most Austerlitz. Była dziewiąta rano.

Opuściłem szybę. Fala ciepłego powietrza pachnącego liśćmi i kurzem wpłynęła do samochodu.

Kierowca prowadził niedbale, trzymając kierownicę jedną ręką. Drugi sunął za nami tak blisko, że oba samochody jechały często zderzak w zderzak.

Jechaliśmy nadbrzeżami, wzdłuż ogrodzenia Ogrodu Botanicznego. Kilkaset metrów dalej w głąb miasta wznosiła się kopuła szpitala Val-de-Grâce, gdzie tej jesieni trzymano mnie trzy miesiące, zanim zwolniono na zawsze od obowiązku służby wojskowej. Siedem lat liceum, pół roku koszar i trzy miesiące Val-de-Grâce. Teraz już nikt nie będzie mnie mógł nigdzie zamknąć. Nikt. Zaczynało się moje życie. Opuściłem szybę do końca i oparłem łokieć o ramę. Platany rosnące wzdłuż nadbrzeża były już zielone i jechaliśmy pod sklepieniem z ich koron.

Nie było dużego ruchu i samochód sunął tak, że nie słyszałem odgłosu silnika. Radio grało po cichu i pamiętam, że kiedy dojeżdżaliśmy do mostu Concorde orkiestra grała melodię piosenki *Kwiecień w Portugalii*. Miałem ochotę ją zagwizdać. Paryż pod tym wiosennym słońcem wydawał mi się jakimś nowym miastem, do którego wjeżdżałem pierwszy raz, a Nadbrzeże Orsay za Inwalidami miało tego ranka wdzięk Morza Śródziemnego i wakacji. Tak, jechaliśmy przez Croisette albo Promenadę Anglików.

Przejechaliśmy most Alma. Drugi samochód jechał tuż obok nas. Obaj kierowcy mrugali do siebie porozumiewawczo. Potem wjechali w ulicę Jeana Goujon i tuż za rogiem zaparkowali jeden za drugim na chodniku. Wysiedliśmy, wszyscy trzej. Drzwiczki obu czarnych limuzyn trzasnęły jak na bardzo starych filmach gangsterskich. Czekał na nas mężczyzna w białej koszuli i granatowych spodniach. Stał przed dwuskrzydłowymi odrzwiami z jasnego drewna, podobnymi raczej do drzwi mieszkania niż

do bramy domu. Podszedł do nas. Był drobny, wyglądał na emerytowanego dżokeja.

— Macie wszystkie walizki?

Mówił stanowczym tonem, który mnie zaskoczył. Nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Interesowały go tylko bagaże.

— Mamy wszystko — powiedziałem. — Wszystko. Sprawdziłem.

Wobec takiej gorliwości jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. To było pod moim adresem. Przedtem myślał może, że z powodu młodego wieku nie potraktowałem swojej misji dość poważnie.

Otworzył bramę na całą szerokość. Wielka sień o czarno-białej posadzce.

— Bagaże trzeba złożyć tutaj.

Przenieśliśmy je razem z szoferami sztuka po sztuce. Bardzo nalegał, żebyśmy je ustawili równo przy ścianie, kolejno od największej do najmniejszej. Kiedy skończyliśmy, wyciągnął z kieszeni stary portfel z brązowej skóry i zapłacił obu kierowcom, dając każdemu po kilka banknotów, które najpierw przeliczył śliniąc palec wskazujący.

Byliśmy sami, on i ja, na środku hallu. Nie śmiałem zrobić najmniejszego gestu ani wymówić słowa. Wodził oczami wzdłuż rzędu bagaży. Liczył je pewnie. Potem uniósł twarz ku mnie. Milczał parę chwil, wreszcie oznajmił mi uroczystym tonem:

— Pani śpi.

A potem odprężył się. Skrzyżował ramiona i znów uśmiechnął się do mnie. Był już kim innym. Podszedł do mnie i poklepał mnie czubkiem palców po ramieniu.

— Dziękuję za to, co pan zrobił dla pani... Mówiła mi o panu... Powiedziała, że chce pana zobaczyć...

— Naprawdę?

Zdawał się zdziwiony szorstkim tonem, jakim zadałem to pytanie, ale kiedy obaj kierowcy wyszli z hallu, powiedziałem sobie w duchu, że mnie też stąd odprawią i nigdy w życiu nie będę już miał okazji spotkać pani Lucienowej Blin.

— Proszę za mną...

Poszliśmy ciasnym i źle oświetlonym korytarzem, na którego końcu otworzył jakieś drzwi i usunął się, żeby mnie przepuścić. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem w tym salonie, były błękitne boazerie, od których miejscami podpadała farba, oraz oszklone drzwi wychodzące na mały ogródek.

— Może pan zaczekać tutaj...

Pokazał mi przy ścianie kanapę z niebieskiego weluru. Usiadłem.

— Chce pan napić się czegoś?

— Nie, dziękuję.

— Pani Blin zawsze budzi się późno — powiedział mi łagodnym głosem, jakby z góry chciał mnie uspokoić i dać do zrozumienia, że będę długo czekał. — Naprawdę nie chce pan nic do picia? Kawy? Soku pomarańczowego?

— Nie, dziękuję.

— Gdyby pan zmienił zdanie, proszę nacisnąć tutaj.

I pokazał mi złożony guziczek na ścianie, po prawej stronie kanapy.

— Do widzenia panu. I cierpliwości.

Wyszedł tędy, którędy przyszliśmy, i drzwi zamknęły się za nim z wolna, drzwi tak dobrze wpasowane w ścianę, że nie można ich było od niej odróżnić. A złudzenie było tym pełniejsze, że od strony salonu te drzwi nie miały klamki. Czy korytarz, którym dopiero co szliśmy, był ukrytym przejściem? Obiecałem sobie spytać o to panią Lucienową Blin.

Długo siedziałem na tej kanapie. Po lewej miałem chiński parawan. Na niskich stolikach i kominku — bukiety żółtych i białych kwiatów. Przywiedłych. Naprzeciw mnie słońce oświetlało szyby drzwi od ogrodu przesianym światłem, w którym tonęła trawa i krzewy. I ten ogród na przedłużeniu pokoju miał kształt dziobu statku, tak że w końcu zaczęło mi się zdawać, że jestem na pokładzie.

Cisza ciążyła mi. Wstałem i otworzyłem jedno z drzwi do ogrodu. Przeciąg uniósł zasłony z gazy i wyśliznąłem się na zewnątrz.

Pomarańczowy leżak stał koło czarnego ogrodzenia, które otaczało ogród do wysokości człowieka. Rozstawiłem leżak pośrodku małego trawnika i usiadłem na nim. Świeciło słońce i słyszałem przygłuszony odgłos ruchu ulicznego, jakby fale przyływu odbijały się od ogrodzenia. Było mi dobrze. Siedziałem z głową opartą o podglówek leżaka. Lekkie, wiosenne chmury płynęły po błękitnym niebie.

Potem opuściłem głowę. Salon, z trojgiem oszklonych drzwi, wysuwał się swym kolistym zarysem w moim kierunku. Po prawej — dwoje innych oszklonych drzwi, których wewnętrzne zasłony były zaciągnięte. Sypialnia pani Blin? Miałem ochotę sprawdzić przez szparę między zasłonami, czy rzeczywiście śpi w tym pokoju. Wróciłem do salonu. Na niskim stoliku leżała szkatułka z papierosami i napoczęty karnecik zapalek z nazwą jakiejś restauracji na kartoniku. Znów usiadłem na kanapie. Angielski tytoń drażnił mi gardło i śledziłem oczami zawijasy dymu, które rozpraszały się nad moją głową. Promienie słońca zalewały pokój, aż nagle ściemniło się gwałtownie niczym przed burzą. Z mojego miejsca widziałem skrawek nieba. Cisza i zbyt raptowne zmiany

światła przyprawiały mnie o lekki — o bardzo lekki — niepokój.

Wychodziłem do ogrodu, to znów wracałem do salonu, aż do południa, ale nikt nie przerwał mojego oczekiwania. Otworzyłem jedne z drzwi i na czubkach palców przeszedłem najszybciej jak mogłem przez amfiladę pokoi. Niektóre były puste. W innych meble leżały jedne na drugich, osłonięte pokrowcami. W następnych dniach zdałem sobie sprawę, że wszystkie pokoje tego mieszkania poza sypialnią i salonem były na stałe zamknięte i służyły za lamusy. Można było w nich znaleźć najrozmaitsze rzeczy: siodła i końskie rzędy, żyrandole, dywany i meble z domów, które Lucien Blin posiadał kiedyś w Chantilly i na Cap d'Antibes, oraz jego kolekcję wypchanych zwierząt: żyrafa wznosiła się samotnie pośrodku dawnej jadalni.

Dotarłem wreszcie do hallu z czarno-białą posadzką, w którym wciąż jeszcze stały walizki, rządkiem od największej do najmniejszej. Kiedy otwierałem drzwi wejściowe, poczułem na ramieniu dotyk jakiejś ręki. Odwróciłem się. Człowiek, który przyjął obu kierowców i mnie, uśmiechał się, ale w jego wzroku taił się niepokój.

— Chyba pan nie wychodzi, co?

Czy szedł za mną, a ja go nie zauważyłem? Czy pilnował mnie od początku? Jego ręka coraz mocniej ścisnęła mi ramię.

— Trzeba poczekać, aż pani się obudzi.

W jego głosie czuło się groźbę. Unosił ku mnie swoją małą brutalną twarzyczkę dżokeja, twarz dziecka, ale jakby zмумifikowaną przez upływ czasu.

— Chciałem tylko przejść się trochę po powietrzu.

— Naprawdę?

— Tak... Chciałem... kupić gazetę.

Rozluźnił chwyt ręki.

— No, niech pan nie odchodzi na zbyt długo. Z panią nigdy nie wiadomo. Może się obudzić w każdej chwili.

Na ulicy odetchnąłem głęboko. Myślałem, że nigdy nie pozwoli mi odejść.

Na placu Alma na tarasach kawiarni nie było na słońcu ani jednego wolnego stolika. Szedłem przed siebie na chybi trafi, mijając grupy mężczyzn i kobiet. Wszyscy byli ubrani — jeśli dobrze pamiętam — w jasne garnitury i sukienki z woalu lub muslinu. Wiatr poruszał liśćmi drzew przy alei Montaigne'a, ostry wiatr, jakbym przechadzał się brzegiem morza.

Przeszedłem najpierw w górę, potem w dół aleją Pól Elizejskich. Spacerowałem wzdłuż arkad „Lido” i zaszedłem do sklepu z płytami „Symfonia”. Chodziłem tak przez długie godziny nie zdając sobie z tego sprawy i musiałem pewnie przemierzyć wszystkie ulice dzielnicy. Pamiętam tylko chwile, kiedy zaskakiwały mnie ulewy. Pierwsza złapała mnie w ogrodach Pól Elizejskich, koło restauracji „Le Doyen” i zdążyłem schować się w starej muszli dla orkiestry. Druga — na wysokości kina „Biarritz”. I znów słońce odbijało się w mokrych chodnikach.

Pod koniec popołudnia niebo pociemniało znowu. Znajdowałem się pod drzewami Ronda, kiedy poczułem pierwsze krople deszczu, ale szedłem dalej, tuż pod ścianami budynków alei Montaigne'a. Wiał wiatr, wiatr atlantycki, i mówiłem sobie, że na końcu alei jest morze. Mewy szybowały nade mną. Na placu Alma ulewa stała się jeszcze gwałtowniejsza i usiadłem przy jednym z nielicznych wolnych stolików na oszklonym tarasie kawiarni „U Franciszka”. Podszedł kelner, by przyjąć zamówienie. Nie miałem już grosza przy duszy.

— Czekam na kogoś.

W końcu to była prawda, czekałem na kogoś. Po drugiej stronie placu lśniły w deszczu sztachety ogródka. O tej godzinie już na pewno się obudziła. Wystarczyło zrobić

parę kroków i zadzwonić do wejścia. Ale chciałem, by jeszcze przez chwilę moje życie pozostało w zawieszeniu na tarasie tej kawiarni, wśród szmeru rozmów i w odbiciach deszczu na szybie i chodnikach. Czekałem, by wieczór zapadł i zapaliły się światła. I myślę, że jeszcze długo siedziałbym w odrętwieniu przy tym stoliku, gdyby kelner znów nie nachylił się nade mną:

— Wciąż pan czeka na kogoś?

Było w jego głosie tyle ironii, że wstałem. Zatrzymałem się przed kioskiem i wybrałem gazetę: To był pretekst, który niedawno podałem, by pozwolono mi wyjść z mieszkania, i nie chciałem sprawić wrażenia, że kłamałem.

Dziwny dzwonek. Bardzo przytłumiony. Jakby przedłużona nuta zagrana na organach. Tym razem wyszedł mi otworzyć ubrany w białą kurtkę, czarne spodnie i białe rękawiczki, niczym steward na statku pasażerskim, szykujący się do podania obiadu kapitańskiego.

— Pani wciąż śpi.

Wyglądało na to, że mój powrót przyniósł mu ulgę. Pewnie obawiał się, bym nie zniknął na dobre.

— Najlepiej będzie, jeśli pan zaczeka w salonie.

Znów ścisnął mi ramię kciukiem i palcem wskazującym i nie puścił, dopóki nie odsunął mnie od drzwi.

— Tędy... Chodźmy... Chodźmy...

Mówił do mnie tonem, jakim dżokej przemawiałby do krnąbrnego ogiera, którego reakcji nie sposób przewidzieć. Szliśmy tym samym wąskim korytarzem co przedtem, a w salonie wskazał mi tę samą kanapę. Usiadłem w jej lewym końcu, jak za pierwszym razem. Moje życie będzie odtąd snem, w którym będę do końca świata czekał na przebudzenie pani. A czekając będę przechadzał się całymi dniami po pobliskich ulicach i wracał do tego salonu,

niczym na wachtę, by niezmiennie usłyszeć od tego samego majordoma z gębą dżokeja: „Pani śpi.”

Wskazał palcem magazyn ilustrowany, który położyłem sobie na kolanach.

— Widzę, że ma pan co czytać.

Czułość tego człowieka zaczynała wyprowadzać mnie z równowagi.

— Niech pan mi wytłumaczy — spytałem go — czy pani odbywa kurację snem?

Przez kilka sekund stał osłupiały, mierząc mnie lodowatym wzrokiem.

— Bynajmniej... Pani sypia bardzo mało, więc musi nadrabiać. Kiedy zdarza jej się zasnąć, to często na cały dzień.

— Dwadzieścia cztery godziny?

Musiał to uznać za kolejne zuchwalstwo. Drzwi do korytarza trzasnęły za nim i znów znalazłem się sam. Przeglądałem magazyn, ale wszystkie te artykuły i zdjęcia należały do świata, który będzie mi się zdawał coraz dalszy, jeśli zostanę w tym salonie z błękitnymi boazeriami. Jaki obowiązek zatrzymywał mnie tutaj? Powinienem był zgubić się w ulicach paryskich już wtedy, kiedy dwaj kierowcy ładowali na Dworcu Lyońskim bagaże do samochodów.

Opuściłem magazyn na podłogę. Tymczasem zasunięto wewnętrzne żaluzje drzwi do ogrodu i salon był jeszcze cichszy niż rano. Lampa z różowym abażurem rzucała czułe światło na wielki parawan po mojej lewej ręce, od którego nie mogłem oderwać oczu i na którym powoli sunął łabędź, przez wieczność.

Potrząsnął mnie za ramię. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Ale poznałem jego gębę dżokeja, jego białą kurtkę i białe rękawiczki. I błękitną boazerię salonu.

— Pani oczekuje pana.

Leżałem przytulony do oparcia kanapy. Spojrzałem na zegarek. Wpół do jedenastej wieczór. Ja też w końcu zasnąłem. Wziął mnie za ramię i pomógł mi wstać. Potem małymi, starannie odmierzonymi ruchami wygładził wgłębienie, które zostawiłem na kanapie.

Poszedłem za nim amfiladą pustych pokoi, które wszystkie tonęły — a może było to tylko złudzenie, skutek mego skrajnego zmęczenia — w bardzo ostrym, niemal białym świetle. Potknąłem się o zrolowany dywan. Z trudem mnie podtrzymał.

— Nie wygląda pan za dobrze. Powinien był pan wziąć prysznic.

— Pysznic?

— Tak. Gdybym obudził pana trochę wcześniej, zdążyłby pan wziąć prysznic.

Stuknął pięścią w jedno ze skrzydeł podwójnych drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Zza drzwi słyszałem muzykę. Uchylił je z wolna.

— Proszę pani...

Nie było odpowiedzi.

Popchnął drzwi. Byłem tak oślepiiony ostrym światłem poprzednich pokoi, że sypialnia wydała mi się ciemna.

— Powiedziała mi, żebym pana tu wprowadził... Może pan poczekać... Pewnie jest w łazience...

Wprowadził mnie do pokoju. Potem cofnął się niepostrzeżenie i zamknął za mną drzwi.

Muzyka dochodziła z czarnego tranzystora stojącego na okrągłym marmurowym stoliku. Podwójne oszklone drzwi były uchylone i widziałem przez nie trawę i krzewy ogrodu, a w górze niebo, na którym świecił rogalik księżycy.

Usiadłem na stołku obitym materiałem haftowanym w kwiaty i rozejrzałem się wokół siebie. Lampa stojąca

w głębi pokoju spowijała go żółtym, przymglonym światłem. Na nocnym stoliku, pośród porzrzuconych w nieładzie lekarstw, gazet i książek paliła się gruba świeca osadzona w szklanym świeczniku, i to ona z pewnością rozsiewała na cały pokój zapach ambry. Bardzo szerokie łóże z baldachimem, ale osobliwym, bardzo lekkim, o kolistym niebie, wyglądającym na kosz balonu albo na ogromnego owada. Materac z porzrzuconą pościelą leżał koło łóżka, wprost na podłodze.

— Jest pan tam?

Głos dochodził z głębi pokoju, zza uchylonych drzwi.

— Tak, proszę pani.

— Bardzo przepraszam, że musiał pan czekać.

— To nic.

— Chyba jest pan głodny?

— Nie.

— Na pewno tak... przyniosą panu kolację.

Wysilała trochę głos, żebym mógł ją słyszeć z daleka, i to pozwalało mi rozpoznać lekki, niemal niezauważalny akcent przedmieścia.

— Lubi pan tę melodię?

Przeciągła skarga saksofonu. Tak, znałem tę melodię. Rozciągnięta, spowolniona jak we śnie, była to melodia *Kwiecień w Portugalii*.

Pojawiła się w obramowaniu drzwi. Nagie stopy, rozrzucone blond włosy. Miała na sobie biały płaszcz kąpielowy. Wstałem.

— Nie... Nie.... Proszę nie wstawać...

Zdawała się uważać moją obecność za zupełnie naturalną. Przekładała przez chwilę pudełka, książki i świece na nocnym stoliku, wreszcie wzięła napoczętą paczkę papierosów i zapalniczkę. Potem usiadła na materacu.

— Pan pali?

— Nie, dziękuję.

Przyglądała mi się. Jej spojrzenie zatrzymało się na moich rękach.

— Nie miał pan za wiele kłopotu z moimi bagażami?

— Wcale.

— To naprawdę miłe z pana strony... Przykro mi, że przyjechałam pana tak późno... Próbuję spać w dzień... Nocą nie potrafię... Nie potrafię zasnąć w tym łóżku... Jest za wysokie...

Kiwałem głową z powagą. Dziwnie było widzieć ją siedzącą na materacu, u stóp łoża z baldachimem.

— Musi pan być głodny... On panu zaraz coś przyniesie...

Kto? Człowiek z gębą dżokeja?

— Nie, dziękuję... nie warto...

— Tak, tak... Chcę, żeby pan coś zjadł... Zjem z panem... Niewygodnie panu na tym stołeczku... Proszę usiąść tutaj.

Usiadłem koło niej, na brzegu materaca.

— To dziwne... Kiedy pierwszy raz pana zobaczyłam, przypomniał mi pan pewnego przyjaciela mego męża... Człowieka, którego bardzo lubiłam... Anglika... Może pan jest jego synem? Bernard Farmer... Czy pan nie jest przypadkiem synem Bernarda Farmera?

Wpatrywała się w moją twarz, ale czułem, że zza mnie ukazał jej się nagle ów Bernard Farmer.

— Kiedy poznałam mego męża, nie mógł się obejść bez Farmera...

Czułem jej zapach. Pasek do płaszcza kąpielowego bardzo mocno ścisnął jej talię.

— Ludzie, których poznajemy mając dwadzieścia lat, zawsze wywierają na nas wpływ... Dwie osoby, które w życiu najwięcej na mnie wpłynęły, to mój mąż i Bernard Farmer...

— Naprawdę?

Musiałem mieć minę uroczystą i przejętą. Uśmiechnęła się.

— Nudzę pana tym wszystkim...

— Wcale nie.

— Kiedy zobaczyłam pana po raz pierwszy w tamtym hallu hotelowym, pomyślałam sobie, że Farmer w pańskim wieku musiał być dokładnie taki jak pan...

I znów jej spojrzenie zatrzymało się długo na moich rękach.

Postawił tacę na okrągłym stoliku i nie zdawał się zdziwiony tym, że siedzimy koło siebie na brzegu materaca. Nie słyszałem, jak wchodził do pokoju. Jak mógł chodzić tak bezgłośnie? Miał na nogach czarne pantofle, wyglądały na bardzo miękkie, mogłyby chyba służyć za baletki; były tak lekkie, że pewnie ledwie dotykały podłogi.

— O której pani chce być jutro zbudzona?

— Jutro bez budzenia.

— Dobranoc, proszę pani.

Stał przed nami sztywno wyprostowany, czerń jego pantofli kontrastowała z bielą kurtki i rękawiczek. Potem wyśliznął się z jakąś wojskową elegancją tyłem przez uchylone drzwi i zanim je za sobą zamknął, złożył nam — a może tylko pani Blin — krótki ukłon głową.

Sandwicze z chleba bez skórki. Tosty. Konfitura. Jajka na miękko. Sałatka z owoców. Dwie szklanki soku pomarańczowego.

— Może wolałby pan prawdziwą kolację?

— Ależ nie, wcale...

Nałożyła sobie sałatki owocowej. Kilka łyżeczek. Wypiła łyk soku pomarańczowego.

— Jadam coraz mniej.

Wstydiłem się gryźć sandwicza w jej obecności.

— I coraz trudniej mi zasnąć... A pan? Udaje się panu zasypiać?

Była w tym pytaniu jakaś łapczywa ciekawość.

— O tak... bardzo dobrze...

— Zje pan wszystkie sandwicze i całą sałatkę owocową?

— Tak.

— Ja też w pana wieku jadłam wszystko i mogłam spać dziesięć godzin pod rząd, nawet na ziemi.

W jakim była wieku? Teraz, kiedy w aktach po Rocroy znalazłem jej datę urodzenia, policzyłem szybko: trzydzieści dziewięć lat. Ale wydawała mi się młodsza.

— Niech pan je rękami...

Wolałem jeść sałatkę owocową widelcem, chociaż stanowczo — zdawała się bardzo żywo interesować moimi rękami. Dlaczego przyglądała im się tak uparcie? Może uważała, że mam brudne paznokcie. No tak, byłem brudny. Nie myłem się, nie goliłem, nie czesałem od czterdziestu ośmiu godzin. Spędziłem noc w pociągu.

— Przepraszam. Wyglądam jak obszarpaniec...

— Może pan wykąpać się zaraz, jeśli pan chce... Mam nawet dla pana ręcznik kąpielowy i szlafrok... Proszę mi pokazać swoje ręce...

Zarumieniłem się. Mimo to znalazłem w sobie odwagę, by patrzeć jej prosto w oczy.

— Co jest z moimi rękami?

Przysunęła się do mnie i wzięła za lewą rękę. Obróciła ją.

— Ma pan dokładnie takie same ręce jak Bernard Farmer... Stanowczo, musi pan być synem Bernarda Farmera...

Miałem jej twarz tuż przy swojej. Jej usta musnęły moją skroń.

— Jest pan jego synem, co?

— Jeśli to może pani sprawić przyjemność.

Świeca rzucała na ścianę cień w kształcie trójkątnego żagla. Kręciła gałkę tranzystora i po paru minutach złapała w końcu jakąś melodię, graną bardzo wolno na cytrze. Postawiła tranzystor na podłodze.

— Podoba ci się ta muzyka?

— Tak.

— Zawsze słucham muzyki, kiedy próbuję zasnąć.

Dźwięk cytry oddalał się, pokryty szmerem wodospadu albo tajemniczych szeptów, potem powracał, słabł znowu, jakby unoszony wiatrem.

Zasnęła oparta o moje ramię. Mnie też powoli ogarniał sen. Ale długo jeszcze leżałem z otwartymi oczami słuchając lekkiego szmeru jej oddechu. Opierałem policzek o jej włosy, by przekonać się, że nie śnię. Świeca paliła się wciąż i zastanawiałem się, czy nie powinienem jej zgasić. Przez jedno z drzwi ogrodowych podmuch powietrza przynosił mi pomruk Paryża. Na zewnątrz, za sztachetami ogrodu — plac Alma i taras kawiarni, gdzie czekałem, prześląkawszy się przedtem całe popołudnie gdzie oczy poniosą. Byłem częścią tego miasta, byłem listowiem drzew, odbiciem deszczu na chodnikach, szmerem głosów, drobinką pyłu wśród milionów ulicznych drobinek.

Ten Bernard Farmer, do którego byłem podobny, jak mi powiedziała pierwszego wieczoru: zawsze miałem do niego sympatię, choć go nie znałem. Dzięki niemu Carmen zwróciła na mnie uwagę. Później, wśród setek i setek zakurzonych zdjęć drzemiących w komodzie jej sypialni i szufladach sekretery w salonie, znalazłem kilka jego fotografii. Darmo badałem je z lupą w rękę, nie dostrzegłem żadnego podobieństwa między owym Farmerem a mną. Blondyn o bardzo jasnych oczach. Ręce z trudem można było rozróżnić.

Pytałem Carmen, na czym może polegać podobieństwo. Ale nie chciała oglądać tych zdjęć.

— Przecież ci mówię, że był do ciebie podobny...

Mówiła to tonem nie znoszącym sprzeciwu. Spośród osób z jej otoczenia tylko Rocroy znał Farmera wcześniej od niej, bo przyjaźń Rocroy i Luciena Blin sięgała czasów sprzed małżeństwa Blina z Carmen. On mógłby wiedzieć, czy Farmer naprawdę był do mnie podobny. Na moje pytanie wahał się przez chwilę.

— Powiedziała to panu?

— Tak.

— Fizycznie wcale nie był do pana podobny, ale rozumiem, co miała na myśli...

Czekaliśmy na Carmen w salonie, Rocroy, Ghita i ja. Ósma wieczór, maj, a Carmen wciąż jeszcze spała.

— Pan jej przypomina Farmera, bo... to kwestia nastroju, rozumie pan...

Nic nie rozumiałem.

— Znała Farmera, kiedy miała dziewiętnaście lat... Był pierwszym mężczyzną w jej życiu. To Farmer przedstawił jej Luciena Blin...

Nachylił się ku mnie i mówił ciszej:

— Nie wiem, właściwie... Pan jej przypomina młodość... Dlatego kojarzy sobie pana z Farmerem... To wszystko... To pewnie po prostu to...

A potem odwrócił się do Ghity siedzącej na tapczanie:

— No nie, Gyp?

I to „no nie, Gyp?”, które tak często znaczyło jego rozmowę, wymawiał zawsze w sposób nonszalancki i mechaniczny, jak strąca się palcem wskazującym popiół z papierosa.

Tego wieczoru upał w mieszkaniu Rocroy jest tak ciężki, że krople potu ściekają mi z podbródka na papier listowy — duży format, bez linii. Czasem jedna z tych kropel miesza się z atramentem — błękit „floryda” — jakiegoś słowa, piszę więc jakby własnym potem. Farmer. Dwadzieścia lat minęło od tej pory, ale wciąż słyszę głos Rocroy mówiącego mi: „pierwszy mężczyzna w jej życiu”. I chciałbym, żeby ów Farmer był dla mnie, dziś wieczór, czymś więcej nieco od wspomnienia niewyraźnej twarzy na fotografii. W końcu — jestem jego synem.

Przeglądam karty maszynopisu ze skoroszytu Rocroy i jego starą agendę oprawną w niebieską skórkę. Farmer Bernard, Ralf, zwany „Michał”, ulica Pompe 189. Zbiegły. Tel. Poincaré 15-29.

Zostawiam wszystkie światła w mieszkaniu zapalone, jak mnie prosiła Ghita. Wychodzę. Idę najkrótszą drogą. Bulwar Haussmanna. Aleja Friedlandu, aleja Wiktora

Hugo. Noc jest wciąż równie gorąca, a Paryż równie opustoszały. Ale ja wiem, że Farmer już dawno znikł. Wiem to od Rocroy, który udzielił mi paru wiadomości o nim. Palił opium i chodził do figury, nawet zimą, bo uważał, że płaszcz obciąża sylwetkę. Był jakieś dziesięć lat starszy od Carmen i należał do tej bandy przyjaciół, do tej zbieraniny, którą Lucien Blin ciągnął za sobą.

W miarę jak zbliżam się do placu Gwiazdy, znów spotykam autokary turystów z okolic Tuileries. I ci sami mężczyźni w koszulkach w kwiaty, te same kobiety w pomarańczowych lub zielonych sukienkach wysiadają z tych autokarów. Czy jest jeszcze w Paryżu ktoś, z kim można mówić o Farmerze? Albo o tobie, Carmen? Aleja Wiktora Hugo jest pusta. Trochę rzadkich świateł na fasadach domów, ale tak jak w tej chwili u Ghity — żyrandole i lampy oświetlają opuszczone mieszkania.

Na rogu ulicy Dôme, przez jedno z szeroko otwartych okien hotelu „Pod Lasem” dobiega z radia muzyka tak głośna w ciszy i upale, że słyszę ją jeszcze sto metrów dalej. Rozpoznaję melodię jednej z tych włoskich piosenek, które tak lubił Georges Maillot i których stale słuchał w godzinach depresji i podczas swych kuracji odwykowych. A może ta muzyka rozlega się po prostu w mojej głowie?

Okrażam plac Wiktora Hugo i rękawem ścieram pot z czoła. Ulica Sontay. Ulica Pompe, numer 189. A więc to tutaj mieszkał Farmer... Przyglądam się fasadzie domu. Mieszkanie na ostatnim piętrze? Czekał na Carmen. Poincaré 15-29. Za chwilę wykręcę ten numer, którego już nie ma, i przycisnę bardzo mocno słuchawkę do ucha. Ale teraz jestem znów na placu Wiktora Hugo, na chodniku, a niebiesko-żółty autokar zatrzymuje się i wysypuje ze swego wnętrza Japończyków obwieszonych aparatami fotograficznymi. Tworzą zwartą grupę i przez chwilę stają nieruchomi i uroczyści. A gdyby jeden z nich oderwał się od reszty i przeszedł przez plac z wieńcem kwiatów

w rękach, żeby go złożyć pod niewidzialnym pomnikiem poległych? A gdybym ja poszedł aleją Raymonda Poincaré, która otwiera się po drugiej stronie placu? Musiałbym iść prawym chodnikiem i zatrzymać się pod numerem 3. Hotel „Malakoff”. Tak. Powiniennem odbyć tę pielgrzymkę. To w tym hotelu „Malakoff” spędziłem moją ostatnią noc w Paryżu, dwadzieścia lat temu, po zabójstwie Fouqueta.

Japończycy siadają przy stolikach kawiarni „Scossa”, słyszą ich szepty i szmer fontanny. Próbuje sobie wyobrazić Farmera, jak wychodzi zza rogu ulicy i idzie w letnim czerwcowym deszczu, bez płaszczka. I dziewiętnastoletnią Carmen. Wychodzi z metra w godzinie zaciemnienia i podchodzi do niego. Fasady, chodniki, fontanna — wszystko jest takie samo i jestem pewien, że w tamtych czasach zdarzały się w Paryżu letnie miesiące tak upalne jak dziś. Darmo powtarzam to sobie w myślach, nie wiem, czemu tej nocy znalazłem się sam w tym obojętnym mieście, w którym nic z nas nie zostało.

Ale już w tamtych czasach niewiele pozostawało z tego, co Rocroy nazywał „epoką Luciena Blin”. Pewne zdania słyszałem z jego ust wielokrotnie:

„Lucien by tego nie znosił, no nie, Gyp?” Albo: „To by bardzo rozśmieszyło Luciena...” Czasem, tonem dyskretnego wyrzutu, zwracał się do Carmen: „Naprawdę myśli pani, że Lucien byłby za tym?” Albo: „Lucienowi byłoby naprawdę przykro widzieć panią taką...” Carmen nie odpowiadała. Opuszczała głowę. A ja nie mogłem powstrzymać się od spojrzenia na wielką fotografię w ramce z granatowej skóry na konsolce w salonie: Lucien Blin, Carmen i dżokej, to samo zdjęcie, które ilustrowało rozdział książki Guttriego Schwilla *Jak zbili majątek*.

Z członków bandy Luciena Blin trwali jeszcze wówczas tylko Rocroy i Georges Maillot. Carmen pamiętała

mniej więcej wszystkich, ale tylko Rocroy mógłby być historiografem przyjaciół Blina i tej niestęchanej rozgałęzionej grupy, którą niegdyś tworzyli i która z biegiem lat układała się w nowe kształty jak kryształki w kalejdoskopie. Przez dwadzieścia lat, aż do śmierci Blina, Rocroy był jednym z jego adwokatów, ale zwłaszcza — jego najbliższym przyjacielem. Dwadzieścia lat to jest coś. Prawie ćwierć wieku. Te dwadzieścia lat miały dla Rocroy nieporównany smak i znaczenie. Była to „epoka Luciena”.

Mówił mi o niej często. Byłem słuchaczem uprzejmym i uważnym. Lubił mnie dla mej młodości. Na pewno chciałby mieć syna, któremu mógłby przekazać wszystkie wspomnienia „epoki Luciena” i swoje doświadczenie życiowe.

Przyszedłem raz do niego na ulicę Courcelles. Byliśmy umówieni z Carmen i jak zwykle mieliśmy przed sobą to nie kończące się oczekiwanie w salonie, dopóki się nie obudzi. Rocroy leżał na kanapie. Ghita Wattier odbierała telefony, a on za każdym razem kiwał przecząco palcem na znak, by powiedziała, że go nie ma w domu.

— Zakochany w Carmen, no nie? — zapytał mnie zniechęcony.

Musiałem się zarumienić albo wzruszyć ramionami. Wtedy łagodnym i ojcowskim głosem wyrzekł do mnie słowa, które — jeśli dobrze pamiętam — odpowiadały mniej więcej tym, jakich użył w swoim liście: „Wszyscy ci ludzie, którzy byli świadkami pańskich początków w życiu, stopniowo znikną. Pan ich znał jako człowiek bardzo młody, a dla nich był to już zmierzch...”

Potem odwrócił się:

— Gyp, daj mu blok... I pióro...

Ghita podała mi mały żółty notes. Pióro sam Rocroy wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Pisz, staruszk.

I podyktował mi mnóstwo szczegółów: nazwiska, daty, nazwy ulic, które zapisywałem na kartkach żółtego notesu. Notes zgubiłem, ale to nieważne: tego, co słyszy się w tym wieku, nie potrzeba notować. To się wpisuje trwale, nie do zatarcia w naszą głowę, na całe życie.

A więc — czy przeczuwał, że napiszę coś o tym okresie i o wszystkich tych ludziach wokół mnie? Czy zwierzyłem mu się, że będę chciał pisać? Nie sądzę. Czy rozmawialiśmy z nim o literaturze? Tak. Pożyczał mi swoje kryminały i dzięki niemu odkrywałem po kolei Earla Biggersa, Rufusa Kinga, Phillipisa Oppenheima, Saint-Bonneta, Dornforda Yatesa i wielu innych, których dzieła wciąż jeszcze stoją w jego bibliotece. Obok moich.

Drogi Rocroy, ta książka jest jak list pisany do ciebie. List bardzo spóźniony. Nigdy nie będziesz miał okazji go przeczytać. Tylko Ghita... Inni znikli. W każdym razie ani Carmen, ani Georges Maillot nigdy niczego nie czytali. Rozmawialiśmy o tym ze sobą i wyjaśniłeś mi bardzo miło, że istnieją dwa rodzaje ludzi: ci, którzy piszą książki, i ci, o których pisze się książki i którzy nie muszą ich czytać. Przeżywają je. Prawda, Rocroy? Nie mylę się? Carmen i Georges należeli do tej drugiej kategorii.

W końcu lipca będę miał trzydzieści dziewięć lat i mam nadzieję skończyć do tego czasu moją książkę. Powinienem ci ją zadedykować, Rocroy. I zadedykować ją Carmen, Maillotowi, którzy razem z tobą byli świadkami moich początków w życiu — jak ty to określiłeś.

Obiecuję wam, że w dniu moich urodzin pozostanę sam w Paryżu. Jestem wam to winien, wszystkim. Sam, w tym dusznym mieście, które nie jest już moim i gdzie temperatura osiągnęła dziś 35 stopni. Tego wieczoru usiądę na tarasie „U Franciszka”, pośród niemieckich i japońskich turystów. I będę wpatrywał się znieruchomiałym wzrokiem

w ogrodzenie ogrodu Carmen po drugiej stronie placu. Ostatnim razem, kiedy jechałem tamtędy w samochodzie owego Tintina Carpentieri, żaluzje mieszkania były zamknięte na zawsze. Podniosę kieliszek za twoje zdrowie, Rocroy. I za zdrowie Georges'a. I za zdrowie Carmen. Zwykłym sokiem owocowym. Pomarańczowym albo grapefruitowym. Niestety, nie będzie nam smakował jak ten, który podawał nam majordom z gębą dżokeja, w pantoflach-baletkach z czarnego weluru w salonie Carmen, po szóstej wieczór, kiedy wszyscy czekaliśmy, aż ona się przebudzi.

Drogi Rocroy, znalazłeś mi pokój w hotelu przy ulicy Troyon, tam gdzie zatrzymywał się Maillot, kiedy był w Paryżu. W tym hotelu mieszkał uroczy człowiek, twój i Maillota stary przyjaciel, który kiedyś też należał do bandy Luciena Blin: Albert Valentin, filmowiec. Byłem w rodzinie.

Z hotelu chodziłem piechotą do mieszkania Carmen aleją Marceau. Byłem zawsze pierwszym z tych, co czekali w salonie. Potem przychodziłeś ty, sam lub w towarzystwie Ghity. Hurel, majordom z gębą dżokeja, wypowiadał tonem zwierzenia stale to samo zdanie:

— Pani jeszcze śpi.

I podziwiałem, jak cicho suną jego baletki z czarnego weluru.

— Nosi takie coś — powiedziałaś mi naśladowując jego głos — żeby nie obudzić pani.

Chciał za wszelką cenę chronić jej sen. Zdawał się rozczarowany, ilekroć się budziła. Nie lubił nas zbytnio, ani ciebie, ani Georges'a Maillot, ani mnie, ani Haywardów, ani innych.

Byliśmy tymi, co zakłócają sen pani.

Georges Maillot, kiedy był w Paryżu, przychodził po nas około siódmej wieczorem. Zaraz po wejściu do salonu ryczał stentorowym głosem:

— Pani wciąż śpi?

A kamerdyner, czerwony na twarzy, pomrukiwał:

— Ciszej, proszę.

I szybko zamykał drzwi, jakbyśmy byli jakimiś niebezpiecznymi typami. Pewnego wieczoru Maillot stwierdził, że zamknął je na klucz, od zewnątrz.

— Boi się, żebym nie poszedł obudzić Carmen. Powiniennem to zrobić dla jej dobra... Głupia jest, że śpi w taką piękną pogodę.

Zaśmiałeś się na to sardonicznie, Rocroy.

— Bo teraz, Georges, będziesz nam udzielał lekcji higieny?

— Oczywiście. Czemu nie?

Majordom pojawiał się znów z tacą soków owocowych i podawał po kolei nam wszystkim. Wracał co kwadrans z nowymi sokami: mango, ananas, winogrona, banany... Na prośbę Maillota mieszał je ze sobą, a ręce miał zręczne jak barman wielkiego hotelu. Pytał nas, czy mamy ochotę na „koktajl pani”. Zachowałeś może w pamięci, Rocroy, przepis na ten koktajl z soków owocowych? Pamiętam, że podstawą był sok grapefruitowy. Reszta... Koktajl pani. Serce mi się ściska na dźwięk tych słów.

Plamy słońca oświetlały ściany, meble i mokiet salonu. Późne popołudnia były tej wiosny piękne i gorące. Maillot otwierał jedne z drzwi ogrodowych i siadaliśmy ze szklanekami w rękach na wysokim kamiennym schodku. Rząd białych tulipanów okalał trawnik. Krzak ligustru koło ogrodzenia rozsiewał swój zapach lata i dzieciństwa. Maillot brał do ręki garść żwiru i rzucał nim w zasłonięte żaluzjami okna sypialni Carmen albo wołał jej imię. Ale nic z tego nie wynikało. Kładł się więc z rozkrzyżowanymi ramionami na trawniku.

— I pomyśleć, że wtedy wstawiała zawsze o siódmej rano...

O jakie „wtedy” chodziło? O czasy Luciena? Rocroy wyciągał z kieszeni marynarki gazetę giełdową „Cote Desfossés”, rozkładał ją i pograżał się w lekturze. Ghita siedziała w salonie i spokojnie paliła.

— Daniel... Chciałbym znać twoje zdanie — zwracał się Maillot do Rocroy.

Zdawało się, że chodzi o ważne pytanie, że trzeba mu rady, która może zmienić bieg jego życia.

— Czy w Paryżu ludzie wciąż tak samo się bawią?

Żuł w zębach żdźbło trawy i leżąc z głową na skrzyżowanych ramionach zdawał się śledzić wzrokiem nieustanną ucieczkę chmur.

— Nie — odpowiadał Rocroy nie odwracając oczu od swej „Cote Desfossés”. — Nikt się już nie bawi w Paryżu.

— Tak właśnie myślałem.

Nie rozumiałem ich. Za ogrodzeniem wiatr pieścił liście kasztanowców i szczyty domów przy placu Alma, a po drugiej stronie Sekwany — czubek wieży Eiffla. Paryż był wtedy miastem, które biło w jednym rytmie z moim sercem. Moje życie nie mogłoby wpisać się w nic innego niż w jego ulice. Wystarczyło mi przejść się samemu po Paryżu, gdzie oczy poniosą, i byłem szczęśliwy.

Teraz Maillot opuszczał zasłonę z pomarańczowego płótna nad balkonowymi drzwiami salonu. Był wysoki, potężnie zbudowany. Jego czoło, nos, łuk brwiowy miały w sobie coś rzymskiego, podobnie jak jego nonszalancja. Żadnego śladu starzenia się, żadna zmarszczka nie zdradzała w nim najmniejszego rozgoryczenia. Porzucił swój zawód już dziesięć lat temu, znudzony graniem wysportowanych amantów, a nawet, w jednym z ostatnich swoich filmów, kręconych w Rzymie, gladiatora. Był wart czegoś więcej. Interesował się meblami i dziełami sztuki. Rocroy i Carmen mówili mi, że Maillot to prawdziwy znawca.

— No jak tam, Ghito, czy to prawda, że ludzie już się nie bawią w Paryżu?

Wyszła do nas do ogrodu i Maillot usiadł koło niej na gładkim kamiennym schodku.

— Ależ tak, stary — wzdychał Rocroy. — Gyp powie ci to samo... Paryż już nie jest Paryżem...

Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki ołówek i pisał coś na marginesie swojej gazety. Może rozwiązywał krzyżówkę.

— No to niczego nie żałuję — mówił Maillot. — Miałem rację, że przeniosłem się do Rzymu.

— Po tysiącrocio rację.

— W Paryżu, widzisz, mam wrażenie, że jestem widmem — mówił Maillot.

Podnosił ramiona i wydawał z siebie przeciągły skowyt upiora. A teraz, kiedy piszę te słowa, myślę, że w ich obecności w domu Carmen, w tych wieczornych przesiadywaniach też było coś widmowego, jakby czekali na kogoś, kto nigdy nie przyjdzie, albo dopełniali jakiegoś rytuału na pamiątkę zamkniętej przeszłości.

O siódmej kamerdyner podawał nam aperitif. Już nie soki owocowe. Alkohole. Wtedy przychodzili Haywardowie.

Nie znali „epoki Luciena”. Oboje mieli około trzydziestki. Byli piękną parą: on w rodzaju Laurence’a Oliviera, tylko nieco bardziej barczysty, ona — szatynka, zielonooka, ubrana z wysiloną elegancją. Mieszkali w małym mieszkanku po stronie Lasku Bulońskiego, przy alei Rodina. Jeśli dobrze zrozumiałem, Filip Hayward „zajmował się warsztatami samochodowymi w Paryżu”, a Martine Hayward była we wczesnej młodości modelką u angielskiego krawca zwanego „Kapitanem”. Ale pewnej nocy, kiedy zaciągnęła nas do siebie, a my czekaliśmy na

jej męża, zaskoczyłem Haywarda, jak wkradał się do mieszkania w uniformie stewarda linii lotniczych. Kilka chwil później dołączył do nas w salonie ubrany w wizytowy garnitur. To przelotne spotkanie z jego innym wcieleniem zrobiło na mnie osobliwe wrażenie. Od początku czułem, że ta para żyje z przypadkowych zarobków i coś przed nami ukrywa. Nieco schrypnięty głos Haywarda, który silił się nadrobić sztucznie światowym tonem, nie budził we mnie zaufania. W każdym razie Carmen nie potrafiła się bez nich obejść. Są zabawni — mówiła. Dzięki nim za każdym razem odkrywała jakieś „nowe miejsca”, podczas tych nie kończących się wieczorów, które często przeciągały się do piątej nad ranem. A z wdzięczności za tę rolę rybek-pilotów grupy, którą tworzyliśmy — mówię „my”, chociaż zawsze czułem się na marginesie i zastanawiam się, czy naprawdę można o nas mówić jako o „grupie” — robiła im wspaniałe prezenty.

W hallu, kiedy wychodziliśmy, majordom stał sztywno przy ścianie w głębi i obrzucał nas zimnym spojrzeniem.

— O której pani wróci tej nocy? — pytał niezmiennie, jakby wyrzucał nam, że wciągamy Carmen w niebezpieczną dla niej przygodę, a on nie był pewien, czy wróci.

— Bardzo późno. Proszę na mnie nie czekać.

— Ależ tak. Będę czekał na panią.

I wyczuwałem w tym zdaniu wyzwanie pod naszym adresem.

— Wygląda, jakby cię bardzo lubił ten gość — mówił Maillot. — Ale nosi dziwaczne pantofle.

— Znam go od dawna. Był stajennym Luciena.

Myślałem o portierze w „La Résidence”, tym hotelu w Górnej Sabaudii, gdzie pierwszy raz spotkałem Carmen.

On też pracował kiedyś w stadninie Luciena Blin w Varaville. Świat był pełen byłych stajennych, którzy służyli Carmen za aniołów stróżów.

Wsiadała do samochodu Haywardów; Rocroy, Ghita i ja — do auta Maillota. Haywardowie już przedtem zdecydowali, dokąd pójdziemy na kolację, a Maillot jechał za nimi, kilka metrów z tyłu. Pod czerwonymi światłami stawaliśmy obok siebie i Carmen dawała mi mały znak ręką.

Po kolacji trzeba było gdzieś zejść na kieliszek, potem na drugi gdzie indziej, potem na jeszcze jeden. I zawsze pod przewodem Haywardów. Wystarczyło jechać przez Paryż w ślad za ich samochodem. Zielone światło. Czerwone światło. I za każdym razem — mały gest ręki Carmen. W miarę jak upływała noc, zaczynało mi się wydawać, że ten znak jest wołaniem o pomoc. Chciałem wysiąść z samochodu Maillota, otworzyć drzwiczki auta Haywardów i zabrać Carmen ze sobą.

— Myślicie, że niedługo będziemy mogli pójść spać? — pytała Ghita.

Siedzieliśmy z nią na tylnym siedzeniu.

— Nie byłoby ładnie wobec Carmen, gdybyśmy się jej zmyli — mówił Rocroy.

Czasami Maillot przyjeżdżał do Paryża w towarzystwie swojej włoskiej żony, o wiele od niego młodszej. Towarzyszyła nam w nocnych włóczęgach, ale podobnie jak Ghita szybko zaczynała zdradzać zniecierpliwienie.

— Czy mogłabym wrócić do hotelu, Georges? — pytała nieśmiało.

— Oczywiście, kochanie... oczywiście...

— Nie jestem przyzwyczajona... Padam z senności... Przepraszam ode mnie swoich przyjaciół.

Była świetnie wychowana i mówiła po francusku bez śladu akcentu. Rocroy wytłumaczył mi, że należała do

arystokratycznego rodu rzymskiego i w wieku dziewiętnastu lat zakochała się w Maillocie od pierwszego wejrzenia.

— Chcesz, żebym cię odwiózł do hotelu, kochanie? — proponował Maillot.

Wtedy i Ghita nabierała odwagi:

— Ja też jestem skonana. Już nie wytrzymuję...

— Dobrze... Lepiej będzie, jak wrócisz — mówił Rocroy.

— Zostawcie nas na pierwszym postoju taksówek — mówiła Ghita. — Odwiozę Doris do jej hotelu.

Maillot zatrzymywał samochód i pozwalaliśmy im obu odejść. Potem gwałtownie przyspieszał albo przejeżdżał przez czerwone światło, bo musiał dogonić wóz Haywardów. Serce mi biło. A jeśli tamci nas zgubili? Bałem się, że nigdy więcej nie zobaczę Carmen.

— Pękły obie — mówił Maillot. — A pan? Jean, trzymasz się pan jeszcze? A może gdzieś pana podrzucić?

Pokpiwał sobie ze mnie dobrodusznie. Odgadł, że jestem zakochany w Carmen.

— No cóż — wzdychał Rocroy — teraz jesteśmy naprawdę ostatnią kolumną gwardii.

On i Maillot zdawali się nieco melancholijnie pogodzeni z tym, że należą do „ostatniej kolumny”. Przed nami wóz Haywardów wskazywał kierunek. Zielone światło. Czerwone światło.

Byłem zakochany w tej kobiecie, która dawała mi znaki dłonią albo wzywała mnie na pomoc, i nie mogłem jeszcze zrozumieć, co Rocroy miał na myśli mówiąc „ostatnia kolumna”.

Ale w te wieczory, kiedy nie przychodzili ani Haywardie, ani Rocroy, ani Ghita, ani Georges Maillot — czekałem sam. Korony drzew, szczyt wieży Eiffla i sztachety ogrodzenia odcinały się na jasnym jeszcze niebie, nim noc zapadła na dobre. Obudziła się; założyła płytę do adapteru w swojej sypialni i dzięki doskonałemu systemowi akustycznemu muzyka rozchodziła się po całym mieszkaniu. Pojawiała się w białym płaszczu kąpielowym i wyciągała na kanapie. Ja już siedziałem po ciemku, ale nie chciało mi się zaświecić lampy. Były stajenny w welurowych pantofelkach mógłby zapalić światło, gdyby tędy przechodził, ale zadowolął się otwarciem mi drzwi od mieszkania, po czym zniknął, tak że w początkach zdarzało mi się błądzić przez chwilę po amfiladzie opuszczonych pokoi w poszukiwaniu salonu.

Melodie jazzowe, rumbly, operetki, *Skarby świata całego...* Kiedy noc była ciepła, siadaliśmy oboje na schodku na skraju ogrodu i muzyka dochodziła do nas przez otwarte drzwi do sypialni. Od czasu do czasu wstawiała, by zmienić płytę, potem siadała znów tak blisko, że czułem dotknięcie jej czoła na moim ramieniu. Zaczynała swój dzień, ale ta różnica czasów nie przeszkadzała mi. Całe popołudnie drzemałem w moim pokoju w hotelu przy ulicy Troyon, żeby nabrać sił.

Było około dziesiątej, czasem jedenasta. Pora jej pasjan-

sów. Rozkładała karty na dywanie, a ja szedłem wziąć sobie jakąś książkę z półki. Powieści kryminalne. Książki historyczne. Dużo sztuk teatralnych z serdecznymi dedykacjami dla Blina od autorów, którzy zwracali się do niego po imieniu albo czasem — samym nazwiskiem. Lucienowi. Dla Blina. Roczniki „Kroniki Wyścigowej” z lat 1934—1955, wydawane przez Wydawnictwo Chéri: dwadzieścia dwa tomy w ciemnogrnatowej oprawie. I biało-zielone ekslibrisy o barwach stadniny Blina i z inicjałami L.B., naklejone na każdej książce. To tu, na tych półkach odnalazłem *Jak zbili majątek* Guttriego Schwilla, tę książkę, którą w samotności i rozterce czytałem w szpitalu Val-de-Grâce. Pokazałem Carmen fotografię, na której widać ją było z mężem i dżokejem, ale wzruszyła ramionami.

Zdjęć i pamiątek wszelkiego rodzaju były setki w szufladach chińskiego mebla stojącego przy lewej ścianie salonu. Wyciągałem jedną z tych szuflad, wysypywałem z niej wszystko na podłogę i oto cała młodość Carmen leżała tu, przede mną, bezładnie, z datami na grzbietach zdjęć i nazwiskami komparsów zapisanymi w starych książeczkach adresowych Luciena Blin. Nie lubiła, kiedy grzebałem w tym, co nazywała „archiwum”. Pewnej nocy zaskoczyła mnie grzebiącego w szufladach, w których w zapachu laki i skóry spoczywała jej przeszłość, i powiedziała mi, że „spali to wszystko”. Nazajutrz nie pamiętała o swoim postanowieniu, ale ja ukradłem jej zdjęcie z czasów, kiedy miała dwadzieścia lat, w kostiumie kąpielowym, na tle skał w Eden-Roc, żeby coś przynajmniej zostało z „tego wszystkiego”... Po prawdzie — nie zmieniała się od tamtego czasu. Na zdjęciu z Eden-Roc jej blond włosy były inaczej uczesane, z długim kosmykiem odrzuconym do tyłu ponad czołem, ale dziś jej twarz była równie gładka, oczy równie jasne, ciało równie szczupłe. Tylko blask uśmiechu był jakby zasnuty mgłą.

Około drugiej nad ranem eks-stajenny przynosił tacę ze „śniadaniem”. Kurczak na zimno. Słodycze. Owoce. Sok pomarańczowy. Chciała mnie nauczyć zasad gry w madzonga, z którego nic nie rozumiałem, i te same wciąż płyty kręciły się na adapterze. Chociaż była to już dla nich epoka zmierzchu — jak mi napisał Rocroy w swoim liście — najczęściej powtarzały się piosenki o wiosnie: *April in Paris, Some other Spring, Kwiecień w Portugalii...* Wystarczy mi usłyszeć którąś z nich, by znów ogarnęła mnie atmosfera tamtych bezsennych nocy i obecności Carmen. Georges Maillot również pogwizdywał ich powolne i czułe refreny i zastanawiam się, czy te piosenki nie były znakiem rozpoznawczym dla Carmen, dla niego i dla innych z tej samej paczki, z której pozostali tylko oni.

Po „śniadaniu” ubierała się i szliśmy na długi spacer. Była to pusta godzina nocy, kiedy jeździ bardzo mało samochodów, a czerwone i zielone światła migocą beużytecznie. Szliśmy trawnikiem Cours-la-Reine. Ulewa. Zapach liści i mokrej ziemi. Po drugiej stronie placu Alma, wzdłuż nadbrzeży, na esplanadzie pałacu Tokio, rozmawialiśmy szeptem z obawy, by echo nie rozniosło dźwięku naszych głosów. Ulica Fresnel i jej wiszący ogród. Sekwana. Aleja Łabędzi, którą dochodziliśmy do mostu Grenelle. I powrót schodami Passy i ogrodami Trocadéro.

Wstawał dzień. Ćwierkanie ptaków wpadało do salonu. Hurel nie pogasił świateł, płyta krążyła na adapterze. Jego ramię dochodziło do końca płyty, po czym wracało do jej połowy i ten gest upartego pływaka mógłby powtarzać się aż do końca świata, gdybym nie nacisnął wyłącznika. Karty pasjansa pokrywały mokiet.

Ślad zalęknienia pojawiał się przez chwilę w oczach Carmen i ścigał w grymasie jej usta, rozpoznawałem tę rozterkę, którą czytałem w jej twarzy, kiedy odprowadzali-

śmy ją do domu — Georges Maillot, Haywardowie i ja — po naszych nocnych rundach. Wysiadała z samochodu, odwracała się w sieni domu i dawała nam lekki znak dłonią, a ja za każdym razem mówiłem sobie, że to do mnie jest skierowany ten gest. Miała wejść sama do mieszkania i przemierzyć te wszystkie pokoje, które były już tylko lamusem — perskim jarmarkiem, jak mówił Georges Maillot. To on odwoził mnie na ulicę Troyon. Raz zadzwoniłem z mojego pokoju hotelowego do Carmen, by ją spytać, czy „wszystko w porządku”, czy nie chce, żebym jej dotrzymał towarzystwa. Odpowiedziała, że „wszystko w porządku”. Dziękuję mi. Powinienem teraz zasnąć: w moim wieku potrzebuje się snu...

W moim wieku... No cóż, dziś jestem w tym wieku, co ona wtedy: trzydzieści dziewięć lat. I rozumiem teraz niepokój, który ogarniał ją około szóstej rano. I dlaczego jej uśmiech był zasnuty mgłą w porównaniu z tamtym ze zdjęcia z Eden-Roc. I dlaczego czasem kładziemy się na łóżku, zamykamy oczy, daremnie — sen nie nadchodzi.

Światło dzienne przenikało przez story jej sypialni. I jeszcze słychać było ptaki.

— Okropne są te ptaszyska. Wykończą mnie, wiesz...

Lęk znów usztywniał jej wzrok. Mnie, przeciwnie, śpiew ptaków kołysał do snu...

Leżała i przysuwała twarz do mojej. Wpatrywała się we mnie bez słowa swymi jasnymi oczyma. Skurcz niepokoju na jej ustach zanikał i stopniowo ta twarz stawała się równie gładka, równie promienna jak twarz dziewczyny ze zdjęcia zrobionego w Eden-Roc, stopniowo, jakby coś — zapach mięty, liście nenufarów — wynurzało się z wolna na powierzchnię spokojnych wód stawu.

— Carmen jest raczej z gatunku koników polnych — mówił mi Rocroy.

Sprzedano wszystko z wyjątkiem małego kina w okolicy Buttes-Chaumont, zapomnianego na liście tak samo jak górski domek w Górnej Sabaudii. Po śmierci Blina Carmen zdołała utrzymać jeszcze przez dwa lub trzy lata stajnię wyścigową i stadninę Varaville dzięki radom pewnego dżokeja, z którym żyła. A potem ulotnił się z kolei dżokej, konie i stadnina. A Rocroy robił, co mógł, by nie znalazła się, jak ja, na dobre na ulicy.

Pewnego ranka zaproponowała mi zwiedzenie stadniny. Zdziwiło mnie to mocno. Myślałem, że już nie istnieje.

— Tak, istnieje... Została mi jeszcze część stadniny...

Pojechaliśmy samochodem Hurela, eks-stajennego. Prowadził tę starą czarną fregatę ostrożnie, jakby już był odwykły od tego zajęcia. Nie miał na sobie swoich aksamitnych baletek, tylko wyczyszczone do glansu buty do konnej jazdy. Pojechaliśmy Autostradą Zachodnią. W okolicach Wersalu skręciliśmy w drogę obrzeżoną platanami, po czym zatrzymaliśmy się przed bramą z białego drewna, z której luszczyla się farba. Skrzydła bramy były złączone łańcuchem, a na jednym z nich mogłem odczytać wypisany czarnymi, na wpół zatartymi literami napis: STADNINA VARAVILLE. Pod napisem wisiała skrzynka na listy, jakby napuchnięta od rdzy.

— Może jest jakaś poczta — powiedziała mi Carmen suchym głosem. — Powinieneś spojrzeć... To by cię mogło zainteresować...

Usiłowała żartować i może zastanawiała się, stojąc przed tą bramą, czy ta wizyta nie będzie dla niej ciężką próbą. Ale tymczasem Hurel z pomocą kluczyka od samochodu otworzył już skrzynkę.

— Nie ma poczty, proszę pani.

Po czym rozplątał łańcuch i kopniakiem odrzucił jedno skrzydło bramy. Mieliśmy przed sobą aleję zarosłą jeżyną i chwastami.

— Myślisz, że przejdziemy?

— Oczywiście, proszę pani.

Torował nam drogę przez młode drzewka i wysokie trawy. Czasem ślad alei ginął pod roślinnością, która nakrywała nas troje. Z trudem posuwaliśmy się naprzód pośród tego dziewiczego lasu i po jakichś dziesięciu metrach aleja pojawiała się znów. Doszliśmy do dużego budynku z pruskiego muru, którego dwa skrzydła zajmowały stajnie. Nad środkowym korpusem wznosiła się dzwonniczka z zegarem, którego wskazówki na wieczność zatrzymały się na godzinie wpół do szóstej.

— Nie zapomniałeś kluczy?

— Nie, proszę pani.

Hurel próbował otworzyć drewniane drzwi środkowego korpusu, ale bez powodzenia. Klucz zacinał się w dziurce.

— Nie daje się otworzyć, proszę pani. To przez rdzę. Jeśli pani chce, mogę spróbować wyważyć drzwi.

— Nie warto.

— To proste, proszę pani.

Cofnął się i z mocnego rozmachu rąbnął ramieniem w drzwi, które ustąpiły.

— Widzi pani... Zamek musi być zupełnie do niczego... Weszliśmy. Carmen i ja.

Na progu wielkiej izby o ścianach pokrytych sztukaterią chwycił mnie za gardło smród stęchlizny. Carmen otworzyła żaluzję jednego z okien i w świetle ukazał się monumentalny kominek, w którym próchniało kilka polan. Na lewej ścianie — ramka. Carmen zdjęła ją i chusteczką wytarła żółty pył pokrywający szkło. Zdjęcie dżokeja, a pod nim napis: „Lucienowi Blin, szefowi. Z serdecznością — F. Hobson.” Ów Fred Hobson, wiedziałem to od Rocroy, był tym dżokejem, który żył z Carmen po śmierci Blina, a „dosiadał”, jak o tym mówiono w pewnym świątku, dziś już mocno zdziesiątkowanym, „zachwycającej pani Lucienowej Blin” jeszcze za życia jej męża.

— Muszę zabrać to zdjęcie ze sobą — powiedziała Carmen znużonym głosem. — To był przyjaciel...

Na kominku leżał stos prospektów przypominających programy teatralne. Grubość ich glansowanego papieru ustrzegła je od działania czasu, chociaż okładki większości z nich były pokryte brunatnymi plamami i małymi dziurkami, jakby poobgryzały je jakieś owady. Wybrałem najmniej uszkodzony. Na okładce przeczytałem:

STADNINA VARAVILLE

1947

LUCIEN BLIN

Carmen dalej ścierała chusteczką kurz ze zdjęcia.

Na pierwszej stronie prospektu napisane było: pan Lucien Blin. I nad długą listą imion:

Ogiery urodzone w 1947 — *foals*

Klaczki urodzone w 1947 — *foals*.

A na następnych stronach:

pan Lucien Blin

Ogiery urodzone w 1946 — *yearlings*

Klaczki urodzone w 1946 — *yearlings*.

Razem było ich około czterdziestki. Zachowałem na długo ten „program” i w wolnych chwilach uczyłem się na pamięć imion koni: Ortolan, Chmurny, Studnia Miłości, Smarkacz, Różowy Księżę, Skaramuccia, Klodosz, Słodkie Źródło, Północny Wiatr, Szalona Noc, Przełęcz Aravis, Papum, Arabian, Girl, Słodyczka, Perska Wróżka, Istambuł, Panna de Saint-Ahon, Paryż-Północ, Billy of Spain... Miałem ochotę usłyszeć od Hurela coś bliższego o każdym z nich. On je znał. Ale o nic nie śmiałem go prosić.

Carmen musiała zrobić jakiś zbyt gwałtowny ruch i szkło w ramce pękło. Położyła zdjęcie płasko na podłodze.

— Trudno. Niech lepiej zostanie tutaj.

Zacięła się szkłem w palec wskazujący i lekko krwawiła.

Powiedziałem jej, że szkoda zostawiać zdjęcie, żeby tugniło. Usunąłem po jednym odłamki szkła i ostrożnie wyjąłem zdjęcie z ramki. Ale podarła fotografię, ledwie ją jej podałem. Nie było to grzeczne wobec Freda Hobsona.

Wyszliśmy i Carmen zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o balustradę werandy.

— Lubiłbyś mieszkać tutaj? Spytałem Rocroy, czy dałoby się to wyremontować...

Przed nami rozciągał się zapuszczony park, bujny jak dziewicza puszcza. Podchodził stopniowo ku domostwu, by je pochłonąć. Już teraz trawa i mech wdarty się na werandę, a korony drzew przechylały się ponad szerniałymi skrzydłami drzwi stajni, co wyglądało, jakby drzewa rosły w środku. Próżno wpatrywałem się w ten gąszcz, nie mogłem odróżnić początku drogi, którą dopiero co przyszliśmy.

— Nigdy nie chciałem sprzedawać tej części stadniny... Z powodu Luciena i Freda...

Czy ten Fred Hobson też już nie żył?

— Trzeba by to wyremontować... Nie można tego tak zostawić...

Nieco dalej Hurel próbował łopataą usuwać chwasty, bohaterski i uparty jak dziecko, które by wzięło się do przekopywania wielkich wydm Landów uzbrojone w szpadałek do piaskownicy.

— Musi mu być przykro na widok stadniny w takim stanie...

Jej wzrok był nieobecny. Pewnie znów widziała starannie utrzymane alejki, trawniki, białe bariery, krzątanie stajennych, Freda Hobsona na treningu, Hurela prowadzącego Billy'ego of Spain do stajni, wszystko to, dla czego chciało się żyć, co istniało jeszcze w czasach Luciena.

Nad progiem werandy zwisała lina. Spytałem jej, do czego służy. Służyła do wciągania flagi na maszt. Flaga? Tak, o ta, zielono-biała, o barwach stadniny. Ilekroć koń z tej stadniny wygrywał gonitwę, wciągano flagę na maszt.

Pociągnąłem za linę. Pisk wielokrążka. Kiedy poczułem opór — przywiązałem koniec liny do balustrady werandy. Chciałem sprawdzić, czy rzeczywiście flaga powiewa na szczycie masztu.

Tam, wysoko, wiatr wydymał ją łagodnie, mimo małego rozdarcia w zielonej części. Biel nabrała żółtawego odcienia. Ale co z tego? Przynajmniej to jedno można było zrobić: wciągnąć raz jeszcze tę flagę na maszt na cześć nieobecnych dżokejów, dwulatków, stajennych oraz młodości Carmen.

Życie zacząłem od falstartu. Omal nie napisałem: wystartowałem kiepsko. Ale nie, to był właśnie falstart. Mógłbym nawet wyprzeć się tego wszystkiego, co mi się przydarzyło. Większość świadków już znikła — z wyjątkiem Ghity, której wspomnienia są mętne, jak myślę. Kto mógłby mi zaprzeczyć, może tylko jakiś maniak, który by grzebał w starych raportach policyjnych w poszukiwaniu mego nazwiska? Niektóre kobiety, żeby się odmłodzić, odejmują sobie pięć lat życia. W porównaniu z tym trzy miesiące... A przecież wiem dzisiaj, że ten falstart nadał w końcu memu życiu pewien szczególny ton i stanowi jego czuły punkt.

Kwiecień, maj, czerwiec. W archiwach brygady obyczajowej pozostał ślad mego pobytu tej wiosny w hotelu „Triumpf”, w pokoju 17. Pod piętnastym mieszkał Albert Valentin. Georges Maillot podczas swych pobytów w Paryżu zajmował pokój 14, na wysokości mojego, po drugiej stronie korytarza. Rocroy powiedział mi poufnie, że Maillot przyjeżdżał do Paryża na kuracje odwykowe i że narkotyzował się już od dawna. Był o pięć lat starszy od Carmen. Ghita miała trzydzieści trzy lata; Carmen trzydzieści dziewięć, jak ja dzisiaj. Haywardowie byli o kilka lat młodszy. Rocroy należał do pokolenia Luciena Blin. Urodzony w roku 1909. Blin w 1906. Potrzebuję tych szczegółów, czepiam się tych dat, bo tamten sezon szybko

minął zostawiając mi tylko ulotne obrazy. Nie zdążyłem zadać im wszystkich pytań, poznać każdego z nich do głębi, wpatrzeć się w ich twarze.

Georges Maillot. Dlaczego ten człowiek, na pierwszy rzut oka pełen zdrowia, siły fizycznej, życiowego impetu, był tak bardzo przeżarty od wewnątrz? Zastarzały podkład neurasteniczny, jak mówił Rocroy o Carmen. Pamiętam hałaśliwy śmiech Maillota, jego błękitne oczy, jego sylwetkę „gladiatora”, jak mówił pokpiwając sam z siebie. Pamiętam też ryki, jakie wydawał w niektóre noce w pokoju 14 hotelu przy ulicy Troyon. Podczas swych kuracji odwykowych nie mógł się powstrzymać od picia i mieszanka alkoholu ze środkami uspokajającymi przyprawiała go o straszliwe kurcze żołądka. Ale nie tracił humoru. Naza jutrz rano mówił do mnie:

— Znów nie dałem panu spać, staruszk. Następnym razem przyjdzie mnie zakneblować.

W pewne majowe popołudnie niedzielne obaj wynajęliśmy rowery. Zauważyliśmy, że w dzielnicy jest kilka ulic schodzących w dół, i Maillot chciał najpierw wejść nimi w górę, a potem zjechać na rowerze, dla gimnastyki.

Poprzedniego wieczoru sporządziliśmy ich listę:

aleja Carnota,
ulica Anatola de la Forge,
ulica Łuku Triumfalnego,
aleja Mac-Mahona.

— W górę będzie ciężko — powiedział mi Maillot. — Ale zobaczy pan potem... Jaki przyjemny zjazd...

I roześmiał się rozgłośnie, tym śmiechem, którego nic nigdy nie zdołało przygłuszyć i który będzie — myślałem sobie — jedyną rzeczą, jaka pozostanie w nim nie zmieniona do końca.

Tak, przyjemnie było zjeżdżać na wolnym kole przez puste ulice, pod wiosennym słońcem. Wieczorem jedliśmy z nim i z Rocroy, sami mężczyźni, kolację na tarasie

pobliskiej restauracji. Rozmawialiśmy o Carmen. I o przeszłości. Rocroy zrobił wszystko, co mógł, żeby Carmen nie brakowało pieniędzy, i kilka miesięcy temu zdołał naprawić „katastrofalną” sytuację. Nie grała więcej, i to już było coś. Przekonał ją, by wyrobiła sobie „zakaz wstępu” do domów gry.

— Punkt dla ciebie, Daniel — powiedział Maillot.

Od śmierci Blina „wszystko” stopniowo zeszło na psy. Wystarczyło dziesięć lat... I kiedy Rocroy mówił „wszystko”, miałem wrażenie, że nie idzie tylko o sytuację finansową Carmen, ale o niego, o Maillota, Paryż, o wszystko w ogóle. Dopóki żył Blin, świat zachowywał jakąś spójność i każdy z nich miał jakiś środek ciężkości, jakiś wspólny mianownik i — czemu nie — rację bytu... Blin był niczym magnes zbierający wokół siebie żelazne opiłki.

— A ty? Jak twoja kuracja? — pytał Rocroy Maillota.

— Jako tako... Od kiedy ożeniłem się z Doris, mam jednak wrażenie, że zaczęło się coś nowego. A poza tym zawsze lubiłem mieszkać w Rzymie.

Zwrócił się do mnie.

— Powinien pan przyjechać do Rzymu... Spodobałoby się panu to miasto...

— Może się mylę — powiedział Rocroy — ale mam wrażenie, że Rzym to pozycja tyłowa... Pomyśl o tych wszystkich facetach, którzy kończą życie w Rzymie...

Wymienił nazwiska paru aktorów francuskich, którzy przenieśli się do tego miasta jakieś dziesięć lat temu, tak jak Maillot.

— Wiesz, nie widuję ich... Bywam tylko u przyjaciół Doris... A zresztą, może masz rację... Ale to, co mówisz, w każdym razie nie dotyczy jego...

Pokazał mnie palcem.

— W jego wieku, czy się jest w Rzymie, czy w Paryżu — na jedno wychodzi... To naprawdę bez znaczenia... Mieć dwadzieścia lat w Rzymie czy w Paryżu...

Jakiś tęgi blondynek dołączył do nas pod koniec kolacji i usiadł przy naszym stoliku, by napić się kawy. Maillot przedstawił nas sobie, ale nie dosłyszałem jego nazwiska. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że to był Tintin Carpentieri.

— Przyprowadziłeś samochód z warsztatu? — spytał go Maillot.

— Tak.

— Co to było?

— Coś z hamulcami...

Wstali obaj.

— Muszę jechać po Doris na Orly...

Poklepał mnie przyjaźnie po ramieniu.

— Spotkamy się jutro rano w hotelu na śniadaniu... A jeśli Doris mi pozwoli, możemy sobie jeszcze pojeździć na rowerze...

Widziałem ich, jak wsiadali do samochodu. Carpentieri siadł przy kierownicy i ostro ruszył. Siedzieliśmy chwilę w milczeniu przy naszym stoliku, Rocroy i ja.

— Właściwie — powiedział Rocroy — to powinien pan przyjąć jego zaproszenie i pojechać któregoś dnia do Rzymu... Georges jest taki miły...

Jego zdaniem Georges i Carmen mieli ze sobą krótką „przygodę”, kiedy Carmen miała dwadzieścia pięć lat.

— Lucien przymknął oczy... Znał dobrze Carmen... Umiał jej czasem popuścić wodzy... To był koniarz...

Rocroy zaproponował mi, żebym go odprowadził pieszo do domu, na ulicę Courcelles. Wypadało skorzystać z tej pięknej wiosennej nocy. Przez całą drogę rozmawiał ze mną jak ojciec z synem. Troszczył się bardzo o moją przyszłość. To dziwne — poznał Maillota, kiedy ten był w tym samym wieku co ja, w 1939, na Lazurowym Wybrzeżu. Maillot też nie wiedział, co zrobić ze swoim życiem. W Cannes spotkał wtedy starszą od siebie kobietę, kobietę w stylu Carmen, niejaką Dridę Bricard. Ujął ją ten

młody człowiek. A ta Drida Bricard była z kolei przyjaciółką Rocroy i Luciena Blin. Jean, widzi pan, jaki ten świat jest mały...

Kobiety w rodzaju Carmen Blin czy Dridy Bricard to nie jest rozwiązanie. Rocroy doradził wtedy Maillotowi, by pojechał do Paryża i zapisał się na kursy teatralne. Ale ja? Co ja lubię? Książki. No cóż, czemu by pan nie miał spróbować wziąć się do literatury? Co?

Trzeba sobie postawić w życiu jakiś cel. Bez tego... Słuchałem go z roztargnieniem. Byłem w wieku, kiedy rady są nieprzydatne, a słowa tych, co ich nam udzielają, wydają nam się całkiem puste.

Cel w życiu... Tego wieczoru powietrze było letnie, światła alei Pól Elizejskich świeciły, jakby już nie miały świecić nigdy więcej, a niżej, w ogrodach, kwiaty kasztanowców spadały mi na ramiona.

Wróciłem spacerem z mieszkania Rocroy do hotelu przy ulicy Castiglione, bo chciałem się dowiedzieć, czy nie dzwoniła do mnie żona. Powietrze było chłodniejsze niż zwykle, światło łagodniejsze i jaśniejsze zarazem — nie przysłonięte mgiełką upału; i bardziej jeszcze rozdzierające było poczucie pustki, które ogarnęło mnie, kiedy szedłem wyludnionymi i tonącymi w słońcu ulicami. Ten wietrzyk, pieszczący liście platanów, ich szelest pośród ciszy...

— Nikt nie telefonował, proszę pana... — powiedział mi portier.

Znów podał mi z uśmiechem czerwony kartonik.

— Jeśli jest pan sam w Paryżu...

— Pan dawał mi już taką kartkę parę razy...

— Och, bardzo mi przykro, proszę pana... Nie mam żadnej pamięci do twarzy... W moim zawodzie to może nawet zaleta... gwarancja dyskrecji...

Głos miał tak samo czuły jak uśmiech. Przyjrzałem się uważnie karcie i nazwisku: Hayward.

— Zdaje mi się, że znałem jednego Haywarda, dawno temu...

— Chce pan, żebym do niego zadzwonił w pańskim imieniu?

— Jest pan w zмовie z Haywardem, napędza mu pan klientów?

— Ależ skąd, proszę pana, co pan sobie wyobraża?

W pokoju usiadłem na brzegu łóżka. „Hayward. Luksusowe samochody do wynajęcia. Limuzyna z kierowcą. Trasy turystyczne. Paris by Night. Aleja Rodina 2 (XVI). Tel. TRO 46-26.”

Tak, to był ich dawny adres. Wykręciłem numer.

— Halo... Agencja Haywarda... — oznajmił mi męski głos.

Czy podniósł słuchawkę w salonie? Pamiętałem obszerny balkon tego salonu, skąd małymi żelaznymi schodkami można było wyjść na taras na dachu.

— Dzwonię w sprawie wynajęcia samochodu.

— Z kierowcą?

— Tak. Z kierowcą.

Czy to on rozmawiał ze mną? Czy któryś z jego pracowników?

— A na kiedy, proszę pana?

— Na dziś, na dziewiątą wieczór.

— Pod jakim adresem?

— Hotel „Lotti”.

— Na jak długo?

— Najwyżej dwie godziny. Tyle, ile trzeba na turystyczny spacer po Paryżu.

— Doskonale. Mam poprosić pana...

— Pana Guise, Ambrose Guise.

— Doskonale. Do wieczora, proszę pana, w hotelu „Lotti” o dziewiątej.

Rozłączył się raptownie, nie zostawiając mi czasu, żeby go spytać, czy mam zaszczyt rozmawiać z samym Filipem Haywardem.

— Kierowca czeka na pana w recepcji...

Chciałem na cześć przedsiębiorstwa „Hayward, luksusowe samochody do wynajęcia” włożyć moje stare okulary słoneczne sprzed dwudziestu lat, ale w końcu wy-

brałem te z lusterkowymi szklami, w których zwykle chodziłem.

To był on. Obrzmiała twarz, siwawe włosy. Ale poznałem go po nieco młodzieżowym wzięciu, które zachował dotąd. Garnitur z granatowej alpagi. Krawat bordo.

— Dzień dobry panu — powiedział mi z powściągliwością i znużeniem człowieka żyjącego poniżej swej kondycji. A może myliłem się i Hayward zawsze pracował jako szofer, nawet za czasów Carmen? Przypomniałem sobie, że objawił mi się kiedyś przez chwilę w stroju stewarda. Spojrzał na mnie obojętnie. Nie, chyba mnie nie poznał. Wyszliśmy w duszną noc. Powietrze było zupełnie nieruchome. Samochód stał zaparkowany na rogu ulic Castiglione i Saint-Honoré. Potężnych rozmiarów amerykańska limuzyna. Czarna.

— Mam nadzieję, że odpowiada panu.

— Całkowicie.

Otworzył przede mną drzwiczki i usiadłem na tylnym siedzeniu, po prawej stronie.

— Dokąd mam pana zawieźć?

— Och... zwykły spacer po Paryżu... Wieża Eiffla... Inwalidzi... Pola Elizejskie... Pigalle...

— Doskonale, proszę pana. Od czego mam zacząć?

— Wieża Eiffla...

Zdjąłem okulary. Przyglądał mi się patrząc we wsteczne lusterko.

— Zna pan Paryż?

— Nie byłem tu prawie dwadzieścia lat. Czy Paryż bardzo się zmienił przez dwadzieścia lat?

— Bardzo.

Wyczuwało się w tym słowie szczyptę rozgoryczenia. Jeśli Paryż bardzo się zmienił, to Hayward pachniał tym samym zapachem co dwadzieścia lat temu, zapachem, który wydał mi się staromodny: tą wodą toaletową Acqua

di Selva, której ciemnozielone flakony na półeczce łazienki w jego mieszkaniu przy alei Rodina jeszcze teraz miałem przed oczyma.

— Za to wieża Eiffla nie zmieniła się... — powiedział, odwracając się z lekka ku mnie.

Jechaliśmy przez Cours-la-Reine, potem przez most Aleksandra III. Z tego mostu otwierał się panoramiczny widok na całą tę prawobrzeżną dzielnicę, po której przechadzałem się niegdyś z Carmen. I na próżno powtarzałem sobie, że setki turystów siedzą pod fontannami ogrodów Trocadéro, a po drugiej stronie wielobarwne autokary rozjeżdżają po placu Concorde. Wszystko — Wielki Pałac, wzgórze Passy, nadbrzeża Sekwany, należało teraz do martwego miasta. Martwego przynajmniej dla mnie.

— A oto wieża Eiffla...

Wyrzałem znad opuszczonej szyby, ale tej skwarnej nocy wieża Eiffla wydała mi się jakaś nieprawdopodobna, tak, równie nieprawdopodobna, co siwowłosa Hayward przeobrażony w kierowcę do wynajęcia.

— No jak, przyjrzał się pan? Teraz Sacré-Coeur?

Zachowywał się dość obcesowo wobec klienta, który chciał spokojnie obejrzeć Paryż.

— Nie, nie... Najpierw Inwalidzi...

— Dobrze, proszę pana.

Poznał mnie? Zawrócił i pojechaliśmy nadbrzeżem w przeciwnym kierunku. Przetarł czoło chusteczką. Szyby samochodu były opuszczone, ale nic nie pomagało w tym upale. Było goręcej niż za dnia.

Zatrzymał się przy esplanadzie, z boku. W głębi białe światło reflektorów oświetlało kopułę Inwalidów i nadawało gmachowi wygląd jakiegoś ogromnego iluzjonistycznego obrazu. Ogarnęło mnie to samo poczucie nierzeczywistości, co przed wieżą Eiffla, próbowałem je przewyciężyć odszukując w pamięci wszystko, z czym kojarzyła mi się ta esplanada: wesołe miasteczko, które w czasach mojego

dzieciństwa co roku rozbijało tu namioty i dokąd zabierała mnie matka, maneże, strzelnice, wieloryb Jonasz...

— Chce pan zobaczyć Inwalidów z bliska?

— Nie, nie warto...

Po lewej, przy dworcu lotniczym Air France, autobusy z Orly wysypywały ze swego wnętrza turystów i natychmiast zwracały po nowe ich ładunki. A ci turyści, uginając się pod swym rynsztunkiem i ogromnymi plecakami na metalowych stelażach, biegiem wpadali do innych autokarów, które zajeżdżały w takiej liczbie, jakby formowała się kolumna wojska.

— A teraz, proszę pana? Dokąd pojedziemy?

Nachyliłem się ku niemu, mój podbródek niemal dotykał jego ramienia.

Od zapachu Acqua di Selva kręciło mi się w głowie jeszcze bardziej. Powiedziałem, wymawiając wyraźnie każdą sylabę z osobna:

— Wracamy do hotelu. Ale proszę przedtem zatrzymać się chwilę przy placu Alma, w miejscu, które panu wskażę.

Zawrócił znowu. Pojechał wzdłuż nadbrzeża, a potem skręcił na most Alma.

Dużo ludzi na tarasie „U Franciszka”. Stoliki wypływały aż na jezdnię. Obok czekał błękitny autobus, na boku miał wypisane wielkimi czerwonymi literami: PARIS-VISION.

— Zatrzyma się pan po prawej... na samym początku ulicy Jeana Goujon...

— Tu?

— Tak.

Staliśmy przed wejściem do domu, w którym mieszkała Carmen.

Wyłączył silnik i odwrócił się do mnie.

Oczy rozszerzyły mu się i przyglądał mi się bardzo uważnie, co go nagle postarzyło. A może była to wina półcienia, który pogłębiał zmarszczki na jego twarzy.

— Zastanawiam się, czy ktoś mieszka jeszcze w tym mieszkaniu...

I pokazałem mu zamknięte żaluzje okien mieszkania Carmen, tych, które wychodziły na ulicę Jeana Goujon.

— Wie pan coś o tym?

Przyglądał mi się niespokojnym wzrokiem, a mnie jeszcze mocniej kręciło się w głowie. Miałem ochotę spytać go, co słyhać u jego żony. A nawet zrobić aluzję do pewnych szczegółów, znanych mi z osobliwych wieczorów, na które oni zabierali nas oboje — Carmen i mnie. Czy Martine Hayward ma wciąż pieprzyk na wysokości bioder, po lewej stronie?

— Chyba spotkaliśmy się tu kiedyś, bardzo dawno temu... U niejkiej pani Blin, prawda? — powiedział mi tonem towarzyskiej rozmówki.

— Tak... Zdaje się...

— Umarła pięć lat temu.

Umarła. Nie wiem czemu, tęga różowa twarz Tintina Carpentieri przypomniała mi się tak wyraźnie, że przez chwilę miałem wrażenie, że to nie Hayward siedzi przede mną z łokciem na oparciu fotela, tylko sam Carpentieri mówi do mnie.

— Już od dawna nie mieszkała w Paryżu. Zdaje się, że przeniosła się na Lazurowe Wybrzeże.

Tej nocy Carpentieri będzie może, swoim zwyczajem, śledził widmowy samochód Georges'a Maillot. Plac Alma leżał na jego trasie. Mogłem poprosić Haywarda, byśmy zaczekali na przejazd białej lancierki Maillota i samochodu Tintina. I pojechali za nimi. Aleja Montaigne'a. Rondo Pól Elizejskich. Znów aleja Montaigne'a. Most Aleksandra III...

— Odwieźć pana do hotelu? — spytał Hayward.

— Tak będzie lepiej.

Tak, duży samochód, tej samej wielkości co ten. Prowadził Hayward, jak teraz. Tamtej nocy nie byłem na tylnym siedzeniu sam, siedziałem między Martine Hayward a ciemnowłosą dziewczyną. Carmen jechała na przodzie obok Haywarda. A Ludo Fouquet, ten facet w lekkim szarobieżowym prochowcu, szatyn o błękitnych oczach, też zajął miejsce na przodzie koło drzwiczek. Jego lewe ramię obejmowało ramiona Carmen. Hayward, nim ruszył, zadał mi pytanie, które zadawał za każdym razem, kiedy wieczór mógł się przedłużyć do późnej nocy, to samo, które usłyszałem z jego ust dwadzieścia lat później:

— Odwieźć pana do hotelu?

Ale nie czekał na odpowiedź. Był to jego stały żarcik, coś w rodzaju rytuału. Wiedział, że nie lubię tych ciągnących się w nieskończoność wieczorów, z których na wszelkie sposoby starałem się wyrwać Carmen.

— Nie. Nie. On zostaje ze mną i nie odwozisz go do hotelu — powiedziała Carmen do Haywarda. I poznałem, po jej głosie i po owym „ty”, że wypija więcej niż zwykle.

Hayward ruszył. Jechaliśmy esplanadą Inwalidów w kierunku nadbrzeża. To gdzieś tutaj zatrzymaliśmy się przed chwilą, ale wtedy nie przypominałem sobie tamtego wieczoru, tak trudno mi uwierzyć, że wszystko to działo się w tym samym mieście. Właśnie wyszliśmy z pewnego lokalu, restauracji i nocnej knajpy zarazem, przy ulicy Fabert, idącej równolegle do esplanady, po prawej. Wielka sala obita czerwonym aksamitem. Kryształ, lustro, sufit z czarnej laki. Wszystko trochę obdrapane. Kubańska orkiestra. Kilka par na parkiecie. I wodzirej: przechodził od stolika do stolika albo pochylał się do mikrofonu i potrząsając głową powtarzał bez wielkiego przekonania i z monotonią metronomu:

— Tagada, Ta-ga-da.

Te trzy sylaby służyły mu zdaje się za rodzaj hasła, które rzucał klientom, za znak firmowy i patent szlachecki.

Zresztą słowo TAGADA świeciło zielonym neonem na fasadzie lokalu. Zawsze koło północy Hayward zaciągał nas do baru „Tagada”, bo tam — jak się wyrażał — „się spotykało” i można było dostać „numery telefonu”. „Spotkaliśmy” tamtej nocy faceta w prochowcu, który nazywał się Ludo Fouquet, oraz ciemnowłosą dziewczynę.

Sam widok Haywarda prowadzącego samochód, jego rąk na kierownicy, jego sztywnego karku i potylicy, zapach Acqua di Selva, przypomniał mi wszystkie szczegóły tamtej nocy sprzed dwudziestu lat. W amerykańskich samochodach ma się dziś tak samo jak wczoraj to wrażenie, jakby się szybowало w powietrzu lub pływało po wodzie.

— Nie zasłibujecie na kieliszek do mnie, na ulicę Ponthieu? — spytał Fouquet.

Przyciskał ramię Carmen, trochę zbyt mocno.

— Nie — powiedział Hayward — lepiej nam będzie u mnie...

— Umówiłem się z Jeanem Terraiem na ulicy Ponthieu, co mam zrobić?

— Powiedz mu, żeby przyszedł do nas — powiedział Hayward

Dlaczego przychodzi mi nagle na myśl nazwisko Jean Terrail? Dość masywna sylwetka, okrągła twarz — jeden z tych komparsów, których spotkaliśmy w świecie Haywardów podczas tych nie przespanych nocy. Ludo Fouquet także. Mario P. Niejaki Sierra Dalle. Andrea Karvé — mieszkała przy ulicy Waszyngtona 22, była niegdyś zamężna za pewnym lekarzem, którego oni wszyscy znali i nazywali „pięknym doktorkiem”. Roger Favart i jego żona, piegowata i szarooka...

Ja miałem tej nocy mdłości od zapachu Acqua di Selva, od ręki Fouqueta na ramieniu Carmen i lekkiego kołysania amerykańskiego wozu, w którym miało się wrażenie, że nie jedzie się jezdnią, tylko dryfuje po wodzie. Szum silnika ledwie było słyhać.

— Muszę wracać — powiedziała ciemnowłosa dziewczyna, która siedziała po mojej lewej ręce.

— Nie... Zostajesz z nami — powiedział Ludo Fouquet.

— Ja pracuję... Wczesnie wstaję...

— Nie będziesz musiała wstawać... Nie będziesz spała tej nocy... W twoim wieku to nietrudne...

W twoim wieku... Tak, wszyscy oni byli starsi od nas. I te słowa: „Wczesnie wstaję”, dziwnie brzmiały w tym dryfującym po wodzie amerykańskim wozie. Nie bardzo wyobrażałem sobie Haywarda, Fouqueta i wszystkich pozostałych w dziennym świetle. Rozpływali się pewnie wraz z pierwszymi promieniami świtu. Co mógł robić Ludo Fouquet w ciągu dnia? A Jean Terrail? A Mario P.? A Favart? A jego szarooka żona? Widywałem ich tylko nocą, jakby już wtedy byli widmami.

Dziewczyna nachyliła się ku Haywardowi i oparła się ręką o moje kolano. Pachniała lawendą.

— Proszę mnie wysadzić przy dworcu Bastylia. Mogę jeszcze złapać ostatni pociąg.

— Filip, nie słuchaj jej — powiedział Fouquet. — Zostaje z nami...

— Tak... tak... zostaje z nami — powtórzyła Carmen machinalnie.

Potem odwróciła się do mnie.

— Powinieneś ją przekonać, żeby została... Jest ładna, nie? Podoba ci się?

Dziewczyna spojrzała na mnie wzruszając ramionami.

— Może pani wysiąść przy najbliższym czerwonym świetle... — powiedziałem jej po cichu.

— Nie... nie... Nie mogę... Ten facet to straszny bydlak...

Pokazała Ludo Fouqueta.

— Jeśli wysiądę z samochodu, gotów mnie pobić...

— Co ty mu opowiadasz? — spytał Fouquet.

— Nic.

— Bzdury... Bzdury mu opowiadasz...

To był dla mnie okropny widok — palce Fouqueta bębniące z lekka po ramieniu Carmen, jakby grały na pianinie, i przesuujące się ku jej szyi. Martine Hayward zapaliła papierosa i zbliżyła swą twarz do mojej. Powiedziała mi na ucho:

— Zostanie pan z nami?

Dotykała mnie nogą. Ona też wypiła, jak Carmen. Jak Ludo Fouquet. Tylko Hayward pozostawał trzeźwy podczas tych nie kończących się nocy. Nie był tak całkiem widmem i można było przypuszczać, że on w ciągu dnia żyje. Ale jak długo jeszcze?

Białe światło latarenek tarasu przenikało przez szyby i zostawiało kałużę cienia w głębi salonu. A Carmen była tam, w tej kałuży cienia, wyciągnięta na jednej z kanap. Ludo Fouquet siedział na podłodze i trzymał słuchawkę telefonu między policzkiem a ramieniem.

— To dziwne... Nie mogę dodzwonić się do Jeana Terraila...

— Daj spokój Terrailowi — powiedział Hayward.

— Właśnie że nie... On może nam sprowadzić ciekawych ludzi...

— Chcecie muzyki? — pytała Martine Hayward.

Przebrała się i miała teraz na sobie pomarańczowy płaszcz kąpielowy.

— Tak... muzyki — powiedział Fouquet. — Coś podniecającego... Kobięcy głos... Głos Murzynki...

Hayward rozlewał jakiś bursztynowo mieniący się napój do szklanek, które zanosił Carmen, potem Ludo Fouquetowi, potem Martine. Ledwie śmiałem sobie wyobrazić, ile alkoholu wypili w trójkę od początku wieczoru.

— Teraz muszę iść — powiedziała dziewczyna.

Stała przed Fouquetem przygarbionym przy telefonie. Wypił swoją szklankę jednym haustem.

— Dobra, spieprzaj...

— Dziękuję.

Wstanie i da jej w twarz? Nie. Nakręcał nowy numer.

— Znajdę kogoś na twoje miejsce. To nie takie trudne...

Ulice są pełne takich dziewczyn jak ty...

Ale nie słuchała go. Odwróciła się do niego plecami i szła w kierunku przedpokoju.

Tam, w kałuży cienia, Filip Hayward siedział oparty o kanapę, na której leżała Carmen, a ona z roztargnieniem gładziła go po włosach.

— Ja też wracam — powiedziałem. — Jestem zmęczony...

Przyglądała mi się rozszerzonymi oczyma, w których widać było zdumienie, ale w takich chwilach nie mogłem dla niej nic zrobić. Zupełnie nic. Znowu zatonęła w kałuży cienia. I tak by ze mną nie poszła.

— No to zaczekaj na mnie w domu — wybełkotała. — Czekaj na mnie... he... czekaj na mnie...

I musiałem sam poszperać w jej torebce, która ześliznęła się na ziemię wraz z połową swej zawartości, by znaleźć klucz od mieszkania.

Kiedy znalazłem się na dole, światło zgasło. Poszedłem po omacku ku drzwiom. Od razu poczułem czyjaś obecność. Moja ręka macała wzdłuż ściany w poszukiwaniu przycisku od wyłącznika. Znalazłem go w końcu. Ona stała przy drzwiach. Odwróciła się do mnie.

— Nic nie widziałam... W żaden sposób nie umiałam otworzyć...

Wyszliśmy razem i na podwórzu nie mogłem się powstrzymać, by nie podnieść głowy w stronę mieszkania

Haywarda, oświetlonego niczym plan filmowy przez reflektory tarasu.

— Dziwni ludzie — powiedziałem do niej.

— Tak. Zwłaszcza Ludo...

— Od dawna go pani zna?

— Och... Od miesiąca...

Szliśmy ulicą la Tour. Dziewczyna miała ciemne włosy, spadające do ramion, jasne, nieco skośne oczy, bladą cerę. Ubrana była w duży prochowiec, który przytrzymywała przy piersiach.

— To płaszcz Ludo... Ściągnęłam mu go wychodząc. Nie mam ochoty przemoknąć...

Rzeczywiście, rozpoznałem szarobezowy kolor. Kontrastował z jej ciemnymi włosami.

— A pan, od dawna ich pan widuje?

— Och, ja... Przyjaźnię się z nią...

— Z tą blondynką?

— Tak.

Kiedy byliśmy w mieszkaniu, musiała spaść ulewa, bo chodnik błyszczał i od czasu do czasu przeskakiwaliśmy kałuże.

— Pracuje pani? — spytałem.

— Tak... W perfumerii przy ulicy Ponthieu. To tam Ludo mnie wypatrzył... Bywa w hotelu przy tej samej ulicy, razem z przyjaciółmi... Hotel „Paris-Mondain”...

Haywardowie zaciągnęli nas tam pewnej nocy. Było to jedno z miejsc, gdzie „się spotykało”. Wejście, hall i bar tonęły w zielonkawym świetle, w którym twarze tych wszystkich ludzi stawały się jeszcze bardziej widmowe. Andrea Karvé, Vette Favart, Sierra Dalle. I Mario P., zwany „Wysokie C.”, który przechwalał się, że był przyjacielem aktora Rolanda Toutaina, i miał swój ulubiony żart: kiedy był w barze, pokazywał na spodku swój sterczący członek i mówił, że „jest taki sztywny dwadzieścia cztery godziny na dobę...”

— Ale dlaczego wciąż spotyka się pani z tym face-tem? — spytałem.

— Nie mogłam inaczej... Pożyczył mi tysiąc franków, kiedy byłam w kłopotach.

Uniosła ku mnie twarz.

— Pan studiuje?

— Nie.

W prochowcu Ludo wyglądała bardzo młodo. Młodo jak dziewczynka, która dla zabawy wkłada pantofle na szpilkach i chodzi w nich potykając się.

— Ile pani ma lat? — zapytałem.

— Dwadzieścia.

Ja też. I urodziliśmy się dzień po dniu. Takie rzeczy nie zdarzają się często.

Szliśmy aleją Henri Martina, potem aleją Georges'a Mandela aż do placu Trocadéro. Drzewa na trawnikach i liście za czarnymi ogrodzeniami domów były mokre od deszczu. Na rogu jednej z ulic z ogrodu, w którym wyburzano jakiś pałacyk, dochodził zapach kapryfolium. Dziewczyna zsunęła rękaw płaszcza Ludo, by spojrzeć na zegarek.

— Mogę jeszcze złapać ostatni pociąg.

— Gdzie pani mieszka?

— W Saint-Maur. Zna pan Saint-Maur?

— Nie.

Na wschód od Paryża nie byłem nigdy dalej niż w Lasku Vincennes.

— Niech pani weźmie taksówkę. Mam pieniądze...

Poszperałem w kieszeniach. Wyrzebałem trzydzieści franków. Na taksówkę do Saint-Maur może wystarczy.

— Miły pan jest. Jutro zwrócę. Musi mnie pan odwiedzić... Jutro po południu mam wolne...

Na postoju przy Trocadéro nie było taksówki. Poszliśmy do placu Alma. Dziwnie mi było przechadzać się po tej dzielnicy z kim innym niż Carmen. U wylotu alei Montaigne'a stała czerwono-czarna taksówka.

— Daleko pan mieszka? — spytała.

— Nie. Mieszkam tutaj. Na parterze.

I pokazałem jej mieszkanie Carmen, po drugiej stronie placu.

— Tam gdzie ogród?

— Tak.

Wydawała się zaskoczona. Potem wsiadła do taksówki.

— Niech pan mnie odwiedzi jutro w Saint-Maur... Dam panu adres.

Poprosiła kierowcę taksówki o kawałek papieru i pióro. Oparła karteczkę na kolanie i pisała z miną starannej uczennicy.

— Do jutra. I dziękuję. Niech pan przyjdzie o wpół do trzeciej. Proszę zaczekać na ulicy...

Uśmiechnęła się do mnie, zatrzasnęła drzwiczki i przez opuszczoną szybę pomachała mi mankietem prochowca Ludo, za dużego na nią.

Na jakiej ulicy w Saint-Maur miałem na nią czekać jutro o wpół do trzeciej po południu? Spojrzałem na karteczkę. Aleja Północna 30^{bis}.

Lipy przy alei Północnej tworzą sklepienie z listowia, ciężkie jak te z Lichtentaler Allee w Baden. Pawilon z piaskowca. Mur ogrodzenia, na którym słońce wycina cienie. I na jednym z nich podarty plakat kina w La Varenne.

Czekam na brzegu chodnika, na wysokości domu pod numerem 30^{bis}. Mur, za którym można domyślić się ogrodu, zasłania do połowy brązowy domek z werandą na pierwszym piętrze. Drewniana furtka we wgłębieniu muru uchyla się i ona wyslizguje się przez nią, a potem cicho zamyka za sobą. Podchodzi do mnie. Nie jest już ubrana w prochowiec Ludo, tylko w bardzo lekką ciemnoniebieską sukienkę.

— Trafiłeś bez trudu?

— Tak.

— Jak przyjechałeś?

— Pociągiem.

Dzień był piękny. O tej porze byłem jedynym pasażerem w wagonie. Jechałem do niej — na lotnisko. Reuilly. Saint-Mandé. Vincennes. Biarritz. Joinville-le-Pont. Saint-Maur-des-Fossés. Baden-Baden.

— Chcesz, pójdziemy do La Varenne?

Aleja Północna zakręca, a potem łagodnie schodzi w dół, ku Marnie. Czy dziś można jeszcze zjechać po tej pochyłości? Mniejsza z tym. Nie mam odwagi odbyć pielgrzymki

w tamte strony. Zresztą jestem pewien, że nic już tam nie ma, ani alei Północnej, ani lip, ani warsztatu samochodowego, który nazywał się „Warsztat Wysp” i stał na rogu alei i nadbrzeża.

Poszliśmy nadbrzeżem. Kilkaset metrów dalej, za mostem Champigny, kończyły się szare gmachy, a zaczynały coraz elegantsze pawilony i wille.

— Proszę. Doszliśmy do La Varenne — oznajmiła z powagą, jakby to było doniosłe wydarzenie w naszym życiu.

I kiedy teraz znów o tym myślę, powiadam sobie, że było to doniosłe wydarzenie. Darmo szukam w pamięci, nigdy przybycie do żadnego miasta nie zrobiło na mnie tak mocnego wrażenia jak to, które ogarnęło mnie, kiedy przyszedłem do La Varenne-Saint-Hilaire tamtego popołudnia, w jej towarzystwie.

— Od dawna tu mieszkasz?

— Tak... Urodziłam się tu.

Przeszliśmy przez most Chennevières i skręciliśmy w wąską drogę ciągnącą się wzdłuż Marny. Wierzby płaczące pochylały się nad zielonkawą stojącą wodą. Barki. Na pół przegniłe pontony. Siatki ogrodzeń. Zapach bagniska w słońcu. Powrót pod koniec popołudnia. Wracamy nadbrzeżem La Varenne. Dziewczyna chce mi pokazać uroki swego rodzinnego miasteczka. Wille. Białe ogrodzenia. Nie myliłem się parę godzin temu, na dworcu Bastylli, kiedy wydało mi się, że jadę gdzieś na wakacje.

— Pani tu spędza wakacje?

— Tak... nie warto jechać gdzie indziej... Plaża jest tam.

Żaglówki przycumowane do przystani. Pontony z białego drewna wzdłuż brzegów Marny. Tam, na wysepce, wśród wierzb dostrzegam portyk z huśtawkami, linami, pierścieniami.

— Ma pani rację... Nie warto jechać gdzie indziej...

Koło ratunkowe, zawieszona na jednym z pontonów, na kole napis z granatowych liter: „Plaża rzeczna w La Varenne.” Ona patrzy mi prosto w oczy:

— Chciałby pan, żebyśmy wzięli pokój?

Hotel niedaleko nadbrzeża, na skrzyżowaniu dwóch ulic ze żwirowanym tarasem i ogrodowymi stolikami, nad nimi parasole z frędzlami. Nazywał się „Mały Ritz”.

Ustyszałem przez sen jakiś odgłos. I jeszcze dziś zastanawiam się, czy był to rzeczywiście dzwonek telefonu. A może strzał. Może jedno i drugie naraz. Nie byłem w stanie otworzyć oczu. Moje powieki były za ciężkie.

Poczułem, że ktoś mnie szarpie za ramiona. I wtedy obudziłem się. Twarz dżokeja Hurela nachylała się nade mną. Zasnąłem na kanapie w salonie.

— Proszą pana do telefonu...

Spojrzałem na zegarek. Dopiero północ. Carmen nie wróci przed świtem. Pojechała z Haywardami do jakiegoś domu pod Paryżem, do niejakiego Chatillona, jednego z ich paczki, a ja powiedziałem jej, że jestem zbyt zmęczony, by jej towarzyszyć.

— Ktoś czeka na pana przy telefonie — powtórzył Hurel.

Szedł przede mną i nie mogłem oderwać wzroku od jego aksamitnych pantofli, tak bezszelestnych, tak lekkich, jakbym widział je we śnie. Minęliśmy salon, potem dwa lub trzy inne pokoje, które służyły za skład rupieci i których żyrandole mnie oślepiły. Carmen chciała, by w chwili jej powrotu wszystkie światła w mieszkaniu były zapalone.

Podniosłem słuchawkę w gabinecie. Rozpoznałem jej głos, choć był zmieniony. Zdławiony głos. Gdzie jest? W Saint-Maur-des-Fossés? Nie. W Paryżu. Przy ulicy Rodina, u Haywardów. Stało się coś poważnego. Wybuch-

nęła płaczem. Powiedziała, żebym natychmiast do niej przyszedł.

Hurel stał sztywno przede mną i patrzył na mnie zimnym wzrokiem. Zapomniałem marynarki w salonie. Znow prze-mierzyłem amfiladę pokoi z przecuciem, że nigdy tu już nie wrócę i wszystko tutaj należy już do przeszłości. I mój niepokój odsłaniał przede mną wiele rzeczy, których przedtem nie chciałem widzieć. Boazerie na ścianach były porysowane, jaśniejsze plamy zdradzały miejsca, gdzie przedtem wisiały obrazy, sprzedane kolejno przez Carmen. W świetle żyrandoli mokiet był wytarty aż do osnowy. A Carmen miała się zestarzeć samotnie pośród tego gigantycznego lamusa mebli i wypchanych ptaków, w towarzystwie eks-stajennego w aksamitnych pantoflach, który stał nieruchomo w sieni i śledził mnie, kiedy w środku nocy biegłem do stacji metra.

Otworzyła mi drzwi. Była w tej samej błękitnej sukience co w La Varenne i w kontraście z tym błękitem i z czernią włosów jej cera wydała mi się wilgotna. Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do salonu oświetlonego tylko światłem dwóch gablotek, za którymi Martine Hayward trzymała swą kolekcję wachlarzy.

— Ludo... To Ludo... Patrz...

Leżał za kanapą, pod jedną z gablotek, w swym beżowym prochowcu. Podniesiony kołnierz zakrywał mu twarz do połowy. Na skroni — plama krwi. I krew na kołnierzu płaszcza. Płaszcz ani za długi, ani za krótki. Dokładnie na jego miarę.

— To ja... To... To samo wystrzeliło...

Ścisnęła mi ramię i wpatrywała się we mnie swymi jasnymi oczami pełnymi łez. Usta miała półotwarte.

Usiadłem na kanapie. Podeszła, siadła przy mnie. Na podłodze, przed nami, leżał mały rewolwer z kolbą z perło-

wej macicy. Damski rewolwer. Nieco dalej — jego kabura z granatowego zamszu. Czuję się tak spokojny, jak nie byłem już dawno. Dziwne, ale nie potrafiłem do końca uwierzyć w tę śmierć. Ludo Fouquet... Wszystkie te ważki, te robaczki świętojańskie tak mało znaczyły, że nawet ich śmierć... Podniosłem rewolwer i wsunąłem go do kabury. Zapinała się na zatrask. I ta zamszowa kabura pachniała ciężkawym zapachem Martine Hayward. Czy ten rewolwer należał do niej?

Jedna z gąbłot, ta w głębi, była roztrzaskana i odłamki szkła zalegały mokiet.

— Szamotaliśmy się... Gdybym ja nie strzeliła, on by mnie zastrzelił, rozumiesz...

Tak, rozumiałem. Siedziała przy mnie drżąca, z opuszczoną głową. Zrozumiałem, że to musiało się tak skończyć.

— Zostaniesz ze mną? Nie zostawisz mnie tak, powiedz?

Czuję ulgę. Carmen, Maillot, Rocroy, Ludo Fouquet, wszyscy... To nie mogło tak dłużej trwać.

I tamten nieszczęśnik, który próbował zapanować nad coraz szybszym rytmem snu, powtarzając z uporem me-
tronomu: TA-GA-DA... TAGADA... TAGADA... I nagle strzał, karuzela zatrzymuje się w łoscocie tłuczonego szkła i trzeba się obudzić.

Światło zgasło. Ścisnęła mnie za ramię i zesliśmy po ciemku. Mogliśmy wsiąść do windy, ale bałem się, że czekają na nas na podeście parteru i nie uda nam się w żaden sposób wymknąć.

Na dole nie przycisnąłem nawet wyłącznika, tylko omackiem szukałem guzika od bramy. Nacisnąłem go kilka razy kciukiem, ale mechanizm nie działał. Dziewczyna próbowała pociągnąć bramę do siebie. Nie dawała się otworzyć. Nacisnąłem wyłącznik i załało nas białe światło. Pochyliłem się do zamka u drzwi, żeby znaleźć

uchwyt rygla. I wtedy usłyszałem za sobą jakiś dźwięk. Oszklone drzwi łoży dozorczy otworzyły się. Stał na progu. Brunet, średniego wzrostu, we flanelowych spodniach i pasiastej kurtce od pizamy.

— Co tu robicie?

Spytał brutalnie. Na pewno był przekonany, że przychwycił dwoje złodziei. Przeszło mi przez głowę, że nie jesteśmy złodziejami, jakby mogło wynikać z naszego zachowania; to znacznie poważniejsze.

— Brama nie otwiera się — wybełkotałem.

— Wiem.

Podszedł do nas. Przyjrzał się nam po kolei.

— Skąd idziecie?

— Od pana Haywarda — odpowiedziałem.

— Zdawało mi się, że od wczoraj go nie ma...

Dziewczyna była mokra od potu. Ścisnęła mi ramię. Myślałem, że zaraz zemdleje.

— Zaprosił nas do swojego mieszkania...

— Zaprosił?

— Tak.

Wciąż wpatrywał się w nas swymi małymi czarnymi oczkami.

— No, skoro jesteście gośćmi pana Haywarda...

Wymówił to zdanie tonem ironicznej wzgardy. Chyba nie przepadał za Haywardami. Pewnie zbyt wielu ludzi kręciło się u nich.

Podszedł do bramy. Przez chwilę myślałem, że zagrozi nam drogę i nie da wyjść. Ale nie. Nie spuszczał nas z oczu, odciągnął rygiel.

Uchylił drzwi, zostawiając nam tylko wąską szparę do wyjścia. Zanim prześliznęliśmy się przez nią jedno po drugim, przyjrzał się nam ostatni raz. Robił to tak uporczywie, jakby chciał wryć sobie w pamięci, możliwie najdokładniej, rysy naszych twarzy. Tak, byłem pewien: słyszał strzały.

Uwiesiła mi się na ramieniu i od czasu do czasu wstrząsała nią nerwowy dreszcz. Obeszliśmy plac Trocadéro. Jedna z kawiarni była jeszcze otwarta i usiedliśmy przy stoliku na tarasie. Tam, po drugiej stronie placu, ludzie wychodzili grupami z teatru „Chaillot” i szli w naszą stronę. Siadali przy sąsiednich stolikach wśród rozgwaru rozmów. Na skraju esplanady lśniły autokary turystyczne.

Zamówiłem dwa kiry. Potem jeszcze dwa. I jeszcze dwa. Była nieco mniej blada niż przed chwilą i już nie dygotała. Próbowałem dodać sobie otuchy. Mieliliśmy jeszcze trochę czasu. Nikt nas nie znajdzie tu, na tarasie kawiarni, w sobotni czerwcowy wieczór, wśród turystów i ludzi wracających z teatru. Ale gdzie spędzić noc? Wychodząc z kawiarni zauważyłem czarną wywieszkę hotelu po lewej, u wylotu alei Poincarégo. Na tej czarnej wywieszce lśniła wypisana złoconymi literami nazwa: Hotel MALAKOFF.

W recepcji nocny portier nie poprosił nas o dowody osobiste, tylko podał mi kartę do wypełnienia. Nie chciałem, by wyglądało, że się waham w jego obecności, wpisałem więc swoje prawdziwe nazwisko: Jean Dekker i prawdziwą datę urodzenia: 25 lipca 1945. I nawet miejsce, gdzie naprawdę się urodziłem: Boulogne-Billancourt. Przy rubryce „adres” straciłem się na chwilę i napisałem: aleja Rodina 2, Paryż, XVI. Ale zastanawiam się dziś, czy nie zrobiłem tego celowo.

O świcie wreszcie zasnęła. Prosiła, żebym zostawił zapaloną lampkę na nocnym stoliku. Lewym policzkiem przytulona była do poduszki, lewą rękę miała przykurczoną i dłoń w obronnym geście ścisnęła ramię. Przyglądałem jej się długo, żeby nie zapomnieć twarzy.

Dziewczyna dwudziestoletnia. Wzrost średni. Brunetka. Zapach lawendy. Do tej pory nie udało jej się zidentyfikować.

Zgasilem lampkę. Z butami w ręku wysliznąłem się na czubkach palców z pokoju. Cicho zamknąłem za sobą drzwi i w korytarzu zasznurowałem buty.

Wyszedłem na plac Trocadéro wraz ze wschodem słońca. Zaczynało się lato. Przez chwilę kusiło mnie, żeby przejść esplanadę pałacu Chaillot i ostatni raz przyjrzeć się wieży Eiffla, liściom drzew, dachom, Sekwanie, mostom, wszystkiemu tam w dole.

Ale nie. Odtąd nie było już tu miejsca dla tego Jeana Dekkera, którego karty hotelowe miano z czasem odnaleźć w aktach Obyczajówki. Trzeba mi było zostawić tego brata-bliźniaka za sobą i jak najszybciej opuścić Paryż, gdzie spędziłem dzieciństwo, lata chłopięce i pierwsze lata młodości. Są w życiu takie chwile — mówiłem sobie na pocieszenie — kiedy trzeba wyjechać i zmienić skórę...

Telefon zadzwonił w gabinecie Rocroy w chwili, kiedy kończyłem pisać te słowa.

— Halo, Jean... Tu Ghita... Jak się pan miewa?

— Ależ... bardzo dobrze.

— Ma pan dziwny głos... Nie obudziłam pana?

— Nie, Ghito, nie... Wcale nie...

— Pojutrze wracam do Paryża. Mam nadzieję, że będę miała przyjemność zobaczyć się z panem. W mieszkaniu wszystko w porządku?

— Tak. Chciałem jeszcze raz podziękować pani za gościnę.

— Żartuje pan.

— Pod koniec tygodnia wyjeżdżam do Klosters, do rodziny.

- Szkoda. Powinien pan zostać w Paryżu dłużej...
W każdym razie pojutrze widzimy się...
- Z przyjemnością, Ghito.
Westchnąłem głęboko.
- Ghito, proszę mi powiedzieć...
- Tak?
- Znów będzie mi pani wyrzucać, że grzebię w przeszłości, ale... Co mogę zrobić, żeby odnaleźć ślad...
- Ślad czego?
- Nieważne... Wie pani... Te wszystkie sprawy sprzed dwudziestu lat podchodzą mi do gardła...
- To niezdrowo, Jean...
- Długa chwila milczenia.
- Nie znalazł pan nic ciekawego w aktach de Rocroy?
- Owszem, znalazłem...
- Proszę posłuchać, mój drogi. Wie pan, co mi zawsze powtarzał de Rocroy?
- Nie.
- Mówił, że wszystko, czego się szuka, można znaleźć w książkach telefonicznych. Trzeba tylko umieć posługiwać się nimi.

Odnalazłem jej nazwisko, między kartkami mojego starego zeszytu, na karteczce, na której wypisała mi swój adres w Saint-Maur. I to samo nazwisko znajduje się w tegorocznej książce telefonicznej: bulwar Séruriera 76, XIX dzielnica, 208-76-68. Jest tylko jedno takie nazwisko. Stanowczo Rocroy miał rację. Dobrze znał życie.

Dziwiątą rano. Powietrze nie jest jeszcze zbyt duszne, choć słońce świeci na bezchmurnym niebie. Nie ma przedskwarnej mgiełki. Ceglata czerwień wielkiego budynku

przy bulwarze Séruriera 76 odcina się od zieleni parku, którego trawniki schodzą aż do bulwaru okrężnego.

Znacznie dalej, przy tym samym bulwarze Séruriera, jest czynna kawiarnia, a ja po raz piąty wykręcam na tarczy telefonu numer 208-76-68. Ale nikt nie odpowiada. Wychodę z kawiarni. Bulwar jest pusty. Tam, w stronę przedmieścia, budynek koloru ochry — z pewnością kościół — wznosi się pośród nie zabudowanego terenu. Siadam na ławce w miejscu, gdzie kończy się pochyłość bulwaru Séruriera. Myślę o Maillocie, który mówił mi: „W górę będzie ciężko, ale zobaczy pan, co potem... Jaki przyjemny zjazd.” Aleja Çarñota. Ulica Anatola de la Forge. Ulica Łuku Triumfalnego. Aleja Mac-Mahona. Bulwar Séruriera. Aleja Północna też schodziła łagodnie w dół. Ku Marnie.

A teraz widzę sylwetkę schodzącą pochyłością bulwaru Séruriera z walizką w ręku, blaszaną walizką, której odbicia zmuszają mnie do mrużenia oczu. Miraż? Zbliży się powoli. To ona. Poznaje niedbały krok. Ma na sobie prochowiec, ale to nie jest już prochowiec Ludo. Ten jest o wiele ciemniejszy. Zielonoszmaragdowy.

Doszła prawie do mnie, wstaje. Jesteśmy sami we dwójkę na tym zatraconym bulwarze, przytłoczonym słońcem i ciszą. Proponuję jej, że poniosę walizkę.

— Dziękuję.

— Wraca pani z wakacji?

— Tak. Niewygodnie mieszkam. Zbyt daleko od metra.

Idziemy obok siebie w stronę ceglanego budynku przy bulwarze Séruriera pod numerem 76. Nie rozmawiamy. Zaczyna się robić bardzo gorąco, ale ona nie zdejmuje płaszcza. Niewiele się zmieniła przez dwadzieścia lat. Te same ciemne włosy, ale trochę krócej obcięte. Niebieskie oczy. Średni wzrost. Jasna cera...

— Skąd pani wraca?

— Z Południa.

— Nie jest pani zbyt opalona, jak na kogoś, kto wraca z Południa.

Wraca z jeszcze dalszych stron. Carmen. Rocroy. La Varenne-Saint-Hilaire. Paryż. Wszystkie te ulice schodzące w dół... Przyglądam się jej ukradkiem. Duża blizna przecina czoło. Znak czasu, pewnie. Albo ślad, jaki odciska na nas jeden z tych wypadków, przez które na całe życie tracimy pamięć. Ja też od dzisiaj nie chcę niczego pamiętać.

Printed in Poland

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1993 r.

Wydanie pierwsze.

Ark. wyd. 6,8. Ark. druk. 9,25.

Papier offsetowy kl. III, 70 g, 82 × 104 cm.

Łódzka Drukarnia Dziełowa.

Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45.

Nr zam. 477/1100/92.

**Zapraszamy
do firmowych punktów sprzedaży
w Warszawie:**

Księgarnia, ul Foksal 17, godz. 10-18
tel. 26 02 01 (do 5) w. 204, 266

Księgarnia, ul. Puławska 101, godz. 10-18
tel. 44 09 38

Magazyn hurtowy, ul. Foksal 17, godz. 8-15
tel. 26 02 01 (do 5) w. 202, 240, 250

**Oferujemy sprzedaż hurtową i detaliczną
Prowadzimy także sprzedaż wysyłkową
wszystkich tytułów
po cenach promocyjnych
Przyjmujemy również zamówienia
telefoniczne i pisemne**

Dział handlowy PIW godz. 8-15,30
tel. 26 49 69
tel. 26 02 01 (do 5) w. 218, 284

**Państwowy Instytut Wydawniczy
ul. Foksal 17, 00-372 Warszawa**

tel. 26 02 01 (do 5)
tx 81 43 06 PIW
fax 26 15 36

Na spotkanie z japońskim wydawcą przyjeżdża do Paryża poczytny angielski powieściopisarz Ambrose Guise. Jak się okazuje, jest z pochodzenia Francuzem. Wplątany w aferę kryminalną, nie do końca dla niego zrozumiałą, opuścił Francję. Teraz podąża śladami swej młodości, aby odtworzyć wydarzenia sprzed dwudziestu lat. Usiłuje spotkać ludzi z tamtych czasów, a zwłaszcza tajemniczą młodą kobietę, z którą zetknięcie tak bardzo zaważyło na jego życiu.

Dodatkowym urokiem książki jest jej paryski klimat. Hotel, kawiarnia, chińska pagoda, uliczki VIII dzielnicy – wszystko to odnajduje bohater po wielu latach i może też odnaleźć czytelnik idąc jego śladem.

Patrick Modiano (ur. 1945), pisarz francuski średniego pokolenia, znany jest w Polsce jako autor „Ulicy ciemnych sklepików”, książki wyróżnionej w 1978 r. Nagrodą Goncourtów, powieści „Nawroty nocy” i uroczej książeczki dla młodzieży „Katarzyna” wydanej z rysunkami Jean-Jacques’a Sempé.